

opusdei.org

Człowiek z Villa Tevere

Fragment książki Pilar Urbano.

04-09-2019

Rozdział I

Portret en face

Rozdział II

Na pokładzie J. J. Sistera. Dzieła Boże nie mogą siedzieć z założonymi rękami. Przed Spiżową Bramą. „Ja nie odpowiadam za jego życie”. „Czy okaże się, że jestem hochsztaplerem?”

Rozdział III

*W wynajętym mieszkaniu przy placu
Città Leonina. Kiedy Papież śpi.
„Rzymski, rzymski, rzymski”. Boskie
młyny mielą powoli... Pęk róż bez
kolców.*

Rozdział IV

*Villa Tevere od środka. Dom ojca
rodziny. Ostre walki nad Tybrem.
Drzwi o grubości pięćdziesięciu
tysięcy kilometrów. „Bankier” Opus
Dei. „Gdzie będę spał tej nocy?”.
Dziesięć lat pośród rusztowań i
murarzy. „Módlmy się, żebyśmy jedli”.
Cios w duszy.*

Rozdział V

*Ut gigas. Escrivá rozwija marzenie.
Łamacz granic. Dziwny
„mieszczanin”: zapobiegliwy,
nonkonformistyczny, śmiały i
marzycielski. Opcja na rzecz ubogich i*

*bogatych. „Ci z góry sami spadają”.
Jakiego koloru jest skóra duszy?*

Rozdział VI

*Dlaczego narody się buntują? We
wtorki psalm 2. Nie ma swastyk na
mieczach. Trzy batalie Opus Dei.
Wiara córek węglarza. Torreador,
który zna łacinę. Jak dotrzeć do
„dyrektora”. Na dachu Watykanu. „In
silentio et in spe” „Pomieszczą się...!”
Escrivá na skraju rezygnacji.
Okaleczony posąg. Te Deum z
zadyszka. Zastrzeżona notatka
Escrivy do Papieża. Odwiedziny ojca
Arrupe. Rozwiązanie na epitafium.
Dziwna prorokini. Dzień, w którym
Escrivá przystąpił do Opus Dei. Silny
mąż, który poświęcił swe ciało.*

Zakup książki

.....

Rozdział I

Portret en face

Okolice Segovii, Molinoviejo. Jest wrzesień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Jesień i złociste topole. W domu rekolekcyjnym, w czytelni, Luis Mosquera zaimprovizował swoją malarską pracownię. Wyjątkowo, „absolutnie wyjątkowo... dlatego że interesuje mnie ta osobistość” zgodził się na namalowanie portretu poza swoją pracownią dojeżdżając każdego ranka z Madrytu. Również portretowany musiał pokonać swoją niechęć do bezczynnego pozowania dwa razy po pięć... „przez dziesięć sesji, jakbym był artystą filmowym!”

Mosquera chciał więcej czasu: „Potrzebuję dwa razy więcej, trzy razy więcej sesji... Jestem powolnym malarzem... Myślę dużo nad każdym pociągnięciem pędzla”. Ostatecznie dochodzi do ugody – pięć sesji po dwie i pół godziny.

Mosquera wie, że w tej sytuacji strój portretowanego będzie niewdzięczną trudnością. Mons. Escrivá nosi czarną sutannę, której jedyną ozdobą jest długi pionowy rząd guzików, a jedynym kontrastem – krótkie białe fragmenty koloratki i wystające mankiety.

Wszelkie ożywienie obrazu musi pochodzić z twarzy i dłoni. Tutaj należy utrwalić wyraz twarzy, charakter, ucieleśnienie osobowości, która jawi mu się żywa, bogata w odcienie, o niepowtarzalnym kształcie. Tutaj musi narysować dojrzałego człowieka, który jednak tryska młodzieńczym zapachem. Zahartowanego w bólu ascetę a przy tym człowieka wesołego. Człowieka o duszy w głębi kontemplacyjnej, którego krew tętni jednak z mocą w żyłach. Intelktualistę pozbawionego oziębłości. Eleganckiego, ale bez strojności. Prostego, ale nie prostackiego. Przystępnego, ale bez

spoufalania się. Poważnego, a przy tym z uśmiechem, pogodnego, chociaż pełnego siły. Człowieka spokoju. A przy tym wszystkim wojownika. Wystarczy na niego spojrzeć. Wysunięty i krągły podbródek znamionuje upór. Wąskie wargi o wyraźnych kącikach zdradzają niezłomność i panowanie nad sobą. Obszerne zmarszczki na czole, niczym mewy z rozpostartymi skrzydłami, od skroni do skroni ukazują wzniesienia wyraźnie poorane minionymi (a może obecnymi?) cierpieniami. Tak, malarz wie, że ma do czynienia z postacią o potężnych przeciwnościach.

Przez długą chwilę powraca wciąż do drobnego, ale upartego dylematu: po kapłańsku męski czy po męsku kapłański? Wreszcie nabierając swoimi pędzlami sjenę i ochrę, ziemię i ciało, rozstrzyga: „Kapłan na męskiej podbudowie”.

Mosquera studiuje te dłonie.
Unerwione. Silne. Zręczne.
Wyraziste. Wyobraża sobie, że
nieskończenie wiele razy trzymały
wieczne pióro, że przesuwały
paciorek za paciorkiem wiele
rózańców, że sprawowały dzień po
dniu przez tyle lat chrześcijańską
tajemnicę Eucharystii... To dłonie
rzemieślnika, pracowite dłonie,
dłonie stworzone do starannej pracy.
Artysta zastanawia się: „coś jak
dłonie garncarza”. I pragnie
zanurzyć swój pędzel w glinie.

W całym obliczu dominują trzy
cechy. Inteligencja, owszem.
Sympatia... czy może raczej
intensywna zdolność komunikacji? I
trzeci, głęboki i subtelny element,
który umyka malarzowi i który
będzie stanowił dla niego
pasjonujące wyzwanie w ciągu
pięciu sesji. To *trzeci czynnik*, prosty i
złożony, bardzo trudny do
uchwycenia i określenia, ale jest tam,

bardziej wyczuwalny niż oczywisty,
od pierwszej chwili, w której co rano,
o jedenastej, wobec jesieni i
złocistych topól, malarz staje z
twarzą w twarz z portretowaną
postacią.

Będzie odkrywał go stopniowo,
obserwując w ciszy, wnikliwie
badając jego cechy, słuchając, jak
podczas pozowania mówi, albo
czując, jak przeszywa go jego
spojrzenie...

To spojrzenie bardzo go interesuje.
W odróżnieniu od tak wielu innych
wydaje się ono wydobywać światło
ze środka na zewnątrz. Jak
autentyczne rosyjskie ikony,
nasycone światłem znajdującego się
wewnątrz złota. To spojrzenie...
należałoby powiedzieć, że zamiast
odbijać obrazy z obcego otoczenia,
wypowiada nie wiadomo jakie
przesłania ze swojej własnej głębi. To
spojrzenie uważne, ale nie

dociekliwe, nie ciekawskie, nie badawcze, nie natarczywe. Spojrzenie, które paradoksalnie widzi... ale nie patrzy! Te małe, żywe oczy krótkowidza, mają rzadką cechę przechodzenia przez to, co bliskie, jakby śledziły odległy horyzont, równocześnie składając raport z największej bliskości. Mosquera zdaje sobie wówczas sprawę z zagadki odległości. To tak jakby oczy pozostały gdzieś tam z tyłu, pełne szacunku i cofnięte, a równocześnie wybiegały naprzód, pokonując granice, żeby wyjść na spotkanie tego, kto jest naprzeciwko.

Dopiero na koniec malarz dowie się, że istota, sekret mieści się nie tyle w oczach, co w zdolności przeniesienia na płótno tego niezwykle szczególnego spojrzenia – spojrzenia szczególnego poszukiwacza przygód, cierpliwego robotnika, który wypływając wciąż na pełne morze, patrzy na gwiazdy i śledzi oceany. W

jakim porcie, na jakiej plaży, na jakiej łodzi widział on przedtem to spojrzenie spod współprzymkniętych powiek, głębokie i szczerze uważne rybaka, który patrzy w dal?

Są świadkowie tych scen: Álvaro del Portillo, Javier Echevarría, Florencio Sánchez Bella, Emilio Muñoz Jofre, Alejandro Cantero... Jeden z nich zrobił w tych wrześnieowych dniach następujące zapiski:

„Dla lepszego wykonania portretu, Mosquera nalegał, żeby Ojciec mówił podczas pozowania. Wczoraj było nas wielu w czytelní. Ojciec podtrzymywał miłą rozmowę, przyprawioną dobrym humorem. Zwracał się do nas wszystkich, którzy towarzyszyliśmy mu z zainteresowaniem. Jednak w miarę, jak mijał czas, jego słowa kierowały się w szczególny sposób do Mosquery. Ojciec jest „posłusznym modelem”, jak mówi malarz. Na jego

wskazówkę krzyżuje ramiona i utrzymuje ten statyczny gest, niemal wstrzymując oddech. Później, kiedy Mosquera mówi „już, starczy”, ponownie podejmuje w naturalny sposób rozmowę, nie zmieniając jednak miejsca ani pozycji [...].

Dzisiaj zostałem sam na sam z malarzem i ojcem w jednym rogu pokoju, podczas sesji. Ojciec mówi do Mosquery w bardzo osobisty, bardzo bliski sposób. Zwraca się do niego per „ty” i nazywa go po imieniu – Luis. Bardziej niż jego talent chwali nadzieję, jaką wkłada w swoją pracę. Stąd przechodzi do tłumaczenia mu, jak może zrobić ze swojej sztuki „coś świętego, coś ludzkiego i Bożego”. Następnie, prostymi i bezpośrednimi słowami mówi mu, czym jest Opus Dei. I ze wzruszającą szczerością oznajmia malarzowi, że Bóg zechciał użyć go jako narzędzia, aby organizował Dzieło na świecie. Później, podkreśla z mocą, z przekonaniem, że uważa się za

„nieużyteczne i głuche narzędzie”, że uważa się za „pełnego nędzy”, „zdolnego do wszystkich błędów i wszystkich okropności”, ale równocześnie pragnie tylko miłować w szalony sposób Jezusa Chrystusa.

Ojciec mówi przez ponad pół godziny. Ja w ciszy z mojego kącika wykorzystuję każde jego słowo, żeby odbyć tego poranka moją osobistą modlitwę.

Malarz wykonuje swoją pracę, skoncentrowany i uważny. Widać, że jest wzruszony, *porażony* tą wypowiedzianą na głos modlitwą Ojca.

Nagle Ojciec milknie. Nastaje cisza. Mosquera, nie przestając mieszać barw na palecie, zaczyna mówić o artystycznym życiu bohemy, o emocjach i pasjach, o swoim niedawnym małżeństwie, o swoim laickim wychowaniu, o swoich rzadkich praktykach religijnych... Czuje się poruszony i otwiera swoją

duszę, przy czym nie przeszkadza mu, że ja też tam jestem. Ojciec przerywa, wychwalając sztukę malarską. Umyślnie pragnie uniknąć tego strumienia zwierzeń. Po zakończeniu sesji, kiedy Mosquera poszedł, Ojciec mówi do mnie: «Widziałeś? Gdybym mu nie przerwał, wypowiadałby się nam publicznie»...”1

Wiele miesięcy później, po ukończeniu portretu², już w swoim madryckiej pracowni przy ulicy Doctor Arce, Luis Mosquera przestał mieć wątpliwości dotyczące *trzeciego czynnika*, który wprowadzał go w niepokój. Tego, co go przyciągało, co go zniewalało, co nie przestawało tryskać z jego palety i co rzucało niewiarygodne wyzwanie jego pędzłom... Otóż można malować światło i ciemność, nieprzezroczystość i przezroczystość, radość i ból, bogactwo i biedę, ład i chaos, łagodność i szorstkość...

Wszystko to są ryzykowne i trudne ćwiczenia, które można jednak wykonać posługując się zręcznością. Jednakże, któż odważy się namalować łaskę? Jakimi kolorystycznymi środkami można opisać to tajemnicze połączenie między gliną a łaską, jakim jest świętość?

Podczas pięciu sesji w Molinoviejo artysta przeczuwał, domyślał się i namacalnie przekonywał, że ten ksiądz, który przed nim siedzi, jest czymś więcej niż hierarchą, czymś więcej niż kanclerzem, czymś więcej niż założycielem, czymś więcej niż wybitną osobistością. Jest czymś więcej i jest kimś innym: jest rasowym świętym. Był gliną i łaską, świętym od stóp do głów, ale na ludzkiej podbudowie.

ROZDZIAŁ II

Na pokładzie J. J. Sistera. Dzieła Boże nie mogą siedzieć z założonymi

rękami. Przed Spizową Bramą. „Ja nie odpowiadam za jego życie”. „Czy okaże się, że jestem hochsztaplerem?”

Oparci łokciami o starą balustradę statku *J. J. Sister* na lewej burcie, kapłan Josemaría Escrivá de Balaguer i młodziutki wykładowca historii prawa José Orlandis, członek Opus Dei, wciągają pełnymi płucami łyk morskiego powietrza. Spoglądają na siebie i uśmiechają się. Obok nich jakiś pasażer komentuje: „Po burzy nadchodzi spokój”. Tym razem ten stereotyp jest wiernym opisem sytuacji. Przeżyli dwadzieścia godzin straszego sztormu. Niewielki pocztowy parowiec był wstrząsany gwałtownym wiatrem północnym, który dmuchał od strony Zatoki Lwiej. *J. J. Sister*, cieszący się sławą skoczka i tancerza, utrzymał swoją banderę wobec wichru i fal morskich, chociaż naczynia i szkło z mesy zostały rozbite na kawałki, fale zmywały pokład, meble w kabinie

przemieszczały się z jednego końca na drugi... Wszyscy pasażerowie i załoga, począwszy od kapitana a kończąc na ostatnim majtku, odczuli spustoszenie, jakie czyni morska choroba. Gdy burza szalała w całej pełni, Josemaría Escrivá powiedział z dobrym humorem do José Orlandisa:

– Wiesz co ci powiem? Powiem ci, że jeśli pójdziemy na dno i zjedzą nas ryby... Perico Casciaro nie będzie już nigdy w życiu jadł dorszy!1

Wkrótce potem Ojciec nawiązał do przyczyny, istotnej przyczyny, tej ryzykownej podróży:

– Trzeba było widzieć, jak diabeł zanurzył ogon w Zatoce Lwiej! Widocznie wcale mu się nie podoba, żebyśmy dotarli do Rzymu!2

Jest piąta po południu, upalny czerwcowy dzień, sobota, 22 czerwca 1946 roku. Słońce świeci pionowo, ale bryza na pełnym morzu sprawia,

że pobyt na pokładzie jest przyjemny. *J. J. Sister* płynie na linii zachód-wschód z Barcelony do Genui. Nagle wody znowu się burzą. Wśród pasażerów pojawia się na chwilę niepokój.

– Co się teraz dzieje...? Znowu sztorm?

– Nie, to stado młodych wielorybów...

Kapitan patrzy jeszcze przez lornetkę, kiedy dostrzega metaliczny groźny zarys ogromnej miny, unoszącej się w pobliżu dziobu. Niewiele ponad rok wcześniej zakończyła się druga wojna światowa i nierzadko można natknąć się na „pamiątki” tego rodzaju. Statek wykonuje zwrot w prawo i omija minę.

Wydaje się, że wreszcie wszystko się uspokaja. Escrivá i Orlandis kierują wzrok ku tajemniczej linii horyzontu. W oddali widać piękne,

zamglone, odległe wybrzeże francuskie. Rodzą się zamyślane i milczące wspomnienia.

Trzy lata wcześniej inny młody członek Opus Dei Álvaro del Portillo pokonywał tę samą trasę, ale samolotem i podczas wojny. Jego towarzysze podróży byli sympatycznymi, acz nieco dziwacznymi włoskimi aktorami. Podczas lotu wiele myśliwców pojawiało się nad pokonywaną przez nich przestrzenią powietrzną i gradem kul usiłowało zniszczyć jakiś statek... znajdujący się dokładnie pod nimi. Członkowie trupy, bardzo przestraszeni, krzyczeli:

– *Mamma mia, c'è molto pericolo!
Affoghiamo tutti!**

Jednakże Del Portillo pozostał niewzruszony: „Miałem pewność, że nic się nie stanie: przewoziłem wszystkie papiery...”³ Tak, rzeczywiście, wiozł ze sobą wszystkie

papiery, wszystkie dokumenty, które miał przedstawić w Stolicy Świętej, aby otrzymać *nihil obstat*, zielone światło dla diecezjalnego erygowania Dzieła. W owym czasie Opus Dei posiadało tylko bardzo okolicznościową aprobatę – rodzaj listu żelaznego wydanego przez biskupa Eijo y Garay, ordynariusza Madrytu i Alcalá de Henares, który pozwalał Opus Dei na działalność w ramach „stowarzyszeń pobożnych”. Było to absolutnie niewystarczające dla powszechnego wymiaru, jakiego domagała się natura Dzieła.

Owego czerwcowego dnia 1943 roku, kiedy Papież Pius XII przyjął Álvaro del Portillo na audiencji, ten ostatni nie był jeszcze wówczas wyświęcony na kapłana. Del Portillo stawiał się przed *Spizową Bramą* odziany w mundur inżyniera dróg, z tak bogatym szamerunkiem i galonami, że halabardnicy Gwardii Szwajcarskiej stają przed nim na

baczność i prezentują broń. Bez wątpienia biorą go za marszałka polnego albo za admirała... Choć faktycznie, jakiś strasznie młody.

Stolica Święta przyjęła nie tylko dobrze, ale wręcz „z entuzjazmem” zadania apostołstwa i uświęcania się we własnej pracy zawodowej, które Opus Dei planuje pragnąc rozprzestrzenić się na cztery strony świata. Zaś w kilka miesięcy później, 11 października, Kościół odnosi się do Dzieła, deklarując, że w tej duchowości nie ma niczego, co nie mogłoby być pobłogosławione i co nie powinno być wspierane przez papieża. To *nihil obstat*. Istotny krok, ale tylko jeden krok długiej i trudnej wędrówki po nużącej drodze prawnej, w którą trzeba włożyć tak wiele modlitw, tak wiele pracy, tak wiele starań, tak wiele wysiłków i tak wiele cierpień założyciela Opus Dei i wszystkich ludzi z Dzieła.

Rozpoczęło się wówczas stawianie na nadzieję, które miało potrwać czterdzieści lat. Chodziło o wędrówkę przez pustynię, ale radosną wędrówkę przez żyzną pustynię, w której rok po roku powołania były liczone w tysiącach.

Każde stulecie ma swoją śmiałość. Zaś każda śmiałość reprezentuje nieustraszony człowiek, który idzie przodem. Josemaría Escrivá był jednym z największych śmiałków XX wieku. Z przekonaniem, że towarzyszy mu rzeczywiste pragnienie Boga, odważył się na rewolucyjną nowość Dzieła. Odkrycie, nieoczekiwane spotkanie, które w rzeczywistości już miało miejsce. Stare? Nowe? Pulsujące jak Ewangelia. Jednakże trzeba było powołać to dzieło do życia i sprawić, aby przemieszczało się ulicami świata i tam żyło, przy czym jego jedyną granicą miała być wolność.

Opus Dei jak każda autentyczna rewolucja powraca do korzeni. Łączy dzisiejszych mężczyzn i kobiety z tymi obywatelami pierwszych godzin chrześcijaństwa, którzy osiągnęli świętość w swojej pracy i w stanie świeckim, żyjąc pośród świata. Opus Dei niczego nie wymyśla. Odkrywa na nowo w równie prosty, jak radykalny sposób, że chrześcijaństwo jest zaczynem, który musi zapładniać i przekształcać świeckie społeczeństwo od środka zwracając ku Bogu wszelką czystą i uczciwą ludzką działalność.

Tak po prostu. Tak subtelnie. Chociaż nie tak łatwo.

Opus Dei istnieje, żeby służyć Kościołowi „tak, jak Kościół chce, by mu służono”. Dlatego trzeba, żeby ta szczególna duchowość miała odpowiednie ramy prawne, które może jej nadać tylko Kościół. Jednakże ta aprobata kanoniczna nie

powinna wypaczyć jej świeckiego charakteru ani podcinać jej skrzydeł rozpostartych na całym świecie. Tutaj zaś pojawia się trudna równowaga między różnymi rodzajami wierności, pośród którymi musi balansować Josemaría Escrivá do ostatniego dnia swojego życia jako wierny syn Kościoła i jako wierne narzędzie założycielskie Dzieła.

Osiągnięcie tej właściwej formuły prawnej jest przyczyną kierującą ponownie Álvaro del Portillo do Rzymu w lutym 1946 roku. Wówczas nosił już kapłańską sutannę. Powrócił do Watykanu z dziesiątkami listów polecających popierających wniosek o *Decretum laudis* dla Dzieła. Jednakże kanoniczne przepisy stawiały opór przy wymyślaniu odpowiedniego stroju, formy obejmującej nowe kościelne zjawisko, jakim było Opus Dei. W Stolicy Świętej mówiono księdzu Del Portillo, że Dzieło

narodziło się zbyt wcześnie. Jakby Boży czas musiał dostosowywać się do ludzkich zegarów.

„Dzieło – pisał później Escrivá de Balaguer – jawiło się światu i Kościołowi jako nowość.

Rozwiązanie prawne, którego poszukiwałem, wydawało się niemożliwe. Jednakże, moje córki i moi synowie, nie mogłem czekać, aż sprawy będą możliwe. Pewien wysoki dostojnik Kurii Rzymskiej powiedział: „przybyliście sto lat za wcześnie”. Niemniej jednak, należało spróbować tego, co niemożliwe.

Nalegały tysiące dusz, które oddawały się Bogu w Jego Dzieło, przy tej pełni naszego poświęcenia, aby prowadzić apostołstwo pośród świata”.4

Spizowa Brama zamknęła się nie dlatego, że ten, kto pukał, przybył zbyt późno, tylko dlatego że przybył zbyt wcześnie. Jednakże dzieła Boże

nie mogą siedzieć z założonymi rękami. Álvaro del Portillo nie stracił w Rzymie ani minuty. Do starań w Watykanie doszły wizyty i starania, aby uzyskać listy polecające od kardynałów, którzy wkrótce mieli wyjechać do swoich miejsc przeznaczenia w Palermo, Argentynie, Mozambiku, Kolonii... I rzeczywiście – Del Portillo uzyskał kolejne wsparcie dla *Decretum laudis* od kardynałów Ruffiniego, Caggiano, Gouveia, Fringsa... To właśnie jest wiara!

Tymczasem, chociaż wysłał już list do Ojca, nie ufając zbyt fatalnej powojennej poczcie, wręczył drugi list hiszpańskiemu dyplomacie powracającemu do Madrytu. W obu listach przekazał Josemaríi Escrivie „proszę usiąść i poczekać” oznajmione mu w Stolicy Świętej. Dodał swoją osobistą opinię: „Nie mogę już więcej zrobić... teraz kolej na księdza.”⁵ I chociaż wiedział, że

Ojciec jest poważnie dotknięty cukrzycą, napisał mu, że byłoby korzystnie, aby przybył do Rzymu.

Zaraz po otrzymaniu tych dwóch pism Ojciec zebrał w ośrodku Opus Dei przy ulicy Villanueva w Madrycie tych, którzy tworzyli wówczas Radę Generalną Dzieła. Przeczytał im listy od Álvaro i bez ogródek przedstawił niekorzystne orzeczenie lekarzy, jeśli chodzi o podjęcie przez niego podróży. Doktor Rolf Carballo powiedział mu: „Nie ponoszę odpowiedzialności za księdza życie”.

– Lekarze twierdzą, że mogę umrzeć w każdej chwili... Kiedy się kładę, nie wiem, czy wstanę. A kiedy wstaję rano, nie wiem, czy dożyję do końca dnia...6

Dziełem kierowali ludzie młodzi, ale dojrzała dojrzałością życia wewnętrznego. Ze ściśniętymi sercami uświadomili sobie wymagania misji, którą im

przekazał. Nie wątpiąc ani przez chwilę stanęli po stronie tego, co, jak odgadywali, Ojciec pragnął zrobić. I zachęcali go, aby wyruszył jak najszybciej.

– Dziękuję wam. Jednakże pojechałbym tak czy inaczej. Jak trzeba, to trzeba.7

Był poniedziałek, 17 czerwca 1946 roku. Załatwienie wiz i biletów było kwestią godzin. W środę, 19 czerwca, o godzinie wpół do czwartej po południu, Ojciec wyruszył drogą w kierunku Saragossy. Stamtąd udał się do Barcelony, żeby wsiąść na statek *J. J. Sister* do Genui. Na koniec zaś, również lądem, pokonał ostatni etap tej niezwykle długiej podróży, który doprowadził go do Rzymu. Obecnie odbyłby krótki lot z lotniska Barajas w Madrycie na Fiumicino w Rzymie, ale wówczas, tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, przy braku regularnych połączeń lotniczych

między Hiszpanią a Włochami i zablokowanej granicy z Francją musiało się to odbyć w ten sposób.

W drodze Josemaría chciał zatrzymać się w trzech sanktuariach poświęconych Matce Bożej – bazylice *Nuestra Señora del Pilar* w Saragossie, w drodze przez Bruchs zajechał do klasztoru Montserrat. Wreszcie w Barcelonie nawiedził Najświętszą Maryję Pannę od Wykupu Jeńców. Był synem, poszukującym u swojej Matki „błagającej wszechmocy”, wszelkich rekomendacji, wszystkich sił i wszystkich światel, które miały być mu potrzebne.

Również w Barcelonie, wcześnie rano, w piątek, 21 czerwca, Escrivá spotkał się z niewielką grupą swoich dzieci w kaplicy, w mieszkaniu przy ulicy Muntaner. Modlili się razem przez chwilę. Wpatrując się bez przerwy w tabernakulum, Ojciec

prosił Pana słowami Jezusa Chrystusa, które dobrze znał: „*Ecce nos reliquimus omnia, et secuti sumus te: quid ergo erit nobis?*”. Oto my opuściliśmy wszystko i poszliśmy za Tobą, cóż więc otrzymamy?8

To dosłownie ta sama skarga, jaką dwa tysiące lat wcześniej wygłosił Święty Piotr, stając się rzecznikiem niepokoju i lęku Dwunastu. Ojciec zrobił przerwę. Można było powiedzieć, że horyzont jest zamknięty, zachmurzony i wróży jakieś nieszczęście. Z *ufnością* wywodzącą się z tej dobrej miłości, zdolnej stanąć twarzą w twarz z Bogiem w głębokiej, przyjaznej, osobistej relacji, która datowała się od bardzo dawna, Escrivá nadal mówił cichym, głębokim, szorstkim i wzruszonym głosem:

– Panie, czy mogłeś pozwolić, żebym ja w dobrej wierze oszukał tak wiele dusz?! Skoro robiłem to wszystko dla

Twojej chwały i wiedząc, że taka jest
Twoja wola! Czy to możliwe, że
Stolica Święta mówi, że przybyliśmy
o sto lat za wcześnie...? *Ecce nos
reliquimus omnia, et secuti sumus
te!...* Nigdy nie chciałem nikogo
oszukiwać. Chciałem tylko Ci służyć.
Czy w tej sytuacji okaże się, że jestem
hochsztaplerem?9

Wszyscy, którzy przebywali w tej
niewielkiej kaplicy przy ulicy
Muntaner wiedzieli już bardzo
dobrze, czym jest „opuszczenie
wszystkiego” i płacenie za to
strzępami własnego honoru. Właśnie
w Barcelonie „dobrzy ludzie” od
dłuższego czasu knuli niezwykle
ostrą kampanię obelg i oszczerstw
wymierzonych w Opus Dei judząc
rodziny i alarmując je na wypadek,
gdyby ich dzieci „wpadły w sieci tej
nowej herezji”. Niemniej jednak,
słowa Josemaríi Escrivy nie były ani
zarzutem, ani wystawianiem
rachunku. Były błaganiem do

ostatniej instancji, niemal na granicy płaczu, kogoś, kogo jedynym oparciem na ziemi jest niebo.

Głęboko po zapadnięciu zmroku, 22 czerwca, *J. J. Sister* przybił do portu w Genui. Spacerując po nabrzeżu, czekali na niego Álvaro del Portillo i Salvador Canals. Ojciec uściskał mocno, bardzo mocno swoich dwóch synów. Następnie zwrócił się do Álvaro i spoglądając znad okularów powiedział z ciętym humorem:

– No i jestem tutaj, draniu...! Masz, czego chciałeś!10

Było tak późno, że kiedy dotarli do hotelu, nie było już nic do jedzenia ani w jadalni, ani w pokoju. Od wypłynięcia z Barcelony trzydzieści godzin wcześniej Ojciec wypił tylko kawę i zjadł kilka herbatników.

Álvaro zachował niewielki kawałek parmezanu z kolacji myśląc, że może

smakować Ojcu. Była to jedyna rzecz, jaką ksiądz Escrivá jadł tej nocy.

ROZDZIAŁ III

*W wynajętym mieszkaniu przy placu Città Leonina. Kiedy Papież śpi.
„Rzymski, rzymski, rzymski”. Boskie
młyny miały powoli... Pęk róż bez
kolców*

Podróżowali z Genui do Rzymu rozpadającym się wynajętym samochodem. Dawny, wysoki i wielgachny model ze schodkiem, podnoszonymi siedzeniami, o silnym zapachu starej ceraty. Dotarli o zmierzchu. Było piękny rzymski wieczór. Tyber, różowe fasady i aromat oleandrów i cyprysów. Pokonując zakręt na Via Aurelia spostrzegli kopułę bazyliki Świętego Piotra. Ojciec wzdrygnął się i zaczął się głośno modlić: „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego...”

Była już noc, kiedy dotarli na piąte piętro. Właściwie był to strych mieszkania przy placu Città Leonina, gdzie członkowie Dzieła wynajmowali połowę mieszkania zubożałej hrabiny. Kobieta ta zostawiła im niektóre meble i ozdoby wciąż jeszcze ukazujące pewną przebrzmiałą elegancję. Nie mieli dużo miejsca. W najlepszym pokoju zorganizowali kaplicę. Jadalnia służyła również jako pokój dzienny, pokój do nauki, kącik do pracy, miejsce do przyjmowania wizyt albo odbywania kręgów i spotkań formacyjnych. Nocą rozkładało się tam kilka łóżek polowych. Była tylko jedna sypialnia, przeznaczona dla Ojca albo dla tego, kto przez kilka dni był chory. Pokój księdza Álvaro to wnęką w korytarzu, z konieczności „przechodnia” w dzień. Mieszkanie posiadało niewielki, kryty balkon, zwany szumnie „tarasem”, wychodzący na plac Świętego Piotra.

Ojciec najpierw wszedł, jak to czynił zawsze, pozdrowić „Pana domu”. Modli się kilka chwil, klęcząc przed tabernakulum. Rzucała się w oczy miłość, a także ubóstwo, z jakim była zorganizowana kaplica. Przy pierwszej nadarzającej się w Rzymie okazji Escrivá kupił piękny krucyfiks z żyłkowanego marmuru, żywego i pogodnego Chrystusa o bardzo stylowych liniach, który w przyszłości miał zajmować główne miejsce na tym niewielkim ołtarzu.

Po kolacji mieli chwilę na niezwykle ożywioną rozmowę. Obok Escrivy byli tam Álvaro del Portillo, José Orlandis i Salvador Canals zwany *Babo*. To całe Opus Dei w Rzymie, we Włoszech. Po kilku tygodniach mieli przybyć Ignacio Sallent i Armando Serrano. Jednakże już w tym samym 1946, a także w 1947 roku Dzieło zaczęło się rozprzestrzeniać w Portugalii, Francji, Irlandii i Anglii.

W pewnej chwili wskazując naprzeciwko balkonu, w kierunku watykańskich pałaców, towarzyszący Escrivie pokazali mu jeszcze zapalone światła papieskich apartamentów. Mogli bez problemu domyślać się, kiedy Ojciec Święty przechodzi z jednego pokoju do drugiego. Jako że koszary Gwardii Szwajcarskiej są dość niskim budynkiem, z pewnością to oni byli najbliższymi sąsiadami Papieża. Ojciec postanowił, że tej nocy, pierwszej spędzanej w Rzymie, nie będzie się kładł. Siedząc tam, na tarasie, spędził wiele godzin czuwając i towarzysząc Ojcu Świętemu swoją modlitwą.

Kapłan Josemaría Escrivá odczuwał do Papieża szczerą, głęboką, a nawet entuzjastyczną miłość. Nie chodziło o typowy dla prostego kmiotka podziw, jaki wywołuje każda odległa, niedostępna postać przebywająca na wysokim szczycie uwielbienia. Nie.

Było to przekonanie, że Biskup Rzymu, bez względu na to, jak się nazywa, jest następcą Piotra. To on dzierży w swoich dłoniach klucze. On otwiera i zamyka. On, bez względu na to, jak bardzo krucha może być jego słabość, jest mocną skałą, na której opiera się Kościół. On jest, używając słów zapożyczonych od Świętej Katarzyny Sieneńskiej, którymi delectuje się Escrivá, *il dolce Cristo in terra**. Lub, mówiąc wyraziściej: Namiestnikiem Chrystusa.

Z drugiej strony, jest również prawdą, że za Piusa XII papiestwo przeżywało wciąż barokową rytualistyczną świetność wynoszącą i oddalającą postać Papieża, otaczającą go niemal cesarskimi ozdobami i protokołami. Być może w ten sposób chciano ukazać wyjątkową wielkość jego władzy duchowej i charyzmatycznego autorytetu. Pius XII był Papieżem

emanującym świętością i majestatem. Jednak oglądano go tylko z dużej odległości. Nie było telewizji, nie było zwyczaju tłumnych audiencji dla wszystkich ani papieskich podróży. Niewielu wybranych miało dostęp do Papieża. Podczas wielkich i uroczystych ceremonii Pius XII przemieszczał się niesiony w lektyce na imponującej *sedia gestatoria*, niezwykle uroczysty i wyniosły z ciężką tiarą ze złota i srebra.

Mieć na wyciągnięcie ręki pokój, w którym Papież śpi, jak każdy inny zmęczony człowiek, było bez wątplenia czymś głębokim i wzruszającym dla wrażliwości i wiary Josemaríi.

Przez lata, opatulony kapłańską peleryną, codziennie na ulicach Madrytu odmawiał różaniec „za osobę i w intencjach Biskupa Rzymu”. A także – pisał wiele lat

wcześniej, kiedy na Tronie Piotrowym zasiadał Pius XI – „w wyobraźni przebywałem u boku Ojca Świętego, kiedy Papież odprawiał Mszę... Nie wiedziałem ani nie wiem, jaka jest papieska kaplica, ale kiedy kończyłem różaniec, odbywałem komunię duchową pragnąc przyjąć Jezusa sakramentalnego z jego rąk. Nie dziwcie się, że wzbudzają we mnie świętą zazdrość ci, którzy mają szczęście naprawdę przebywać obok Ojca Świętego, dlatego że mogą otworzyć przed nim serce, dlatego że mogą wyrazić mu szacunek i miłość”.

1

Tej samej nocy, 23 czerwca, już nie tylko Rzym, ale całe Włochy przeżywały szczególny niepokój oczekiwania. Następnego dnia zebrało się zgromadzenie parlamentarne, aby wybrać prezydentem Alcide de Gasperi. Król Hubert II abdykował i oddał całą władzę.

Jednakże Escrivá miał tylko jedną sprawę, która zaprzętała jego serce. Jest prawdą, musi być prawdą, że Dzieło Boże nie przybyło ani zbyt wcześnie, ani zbyt późno. Opus Dei istnieje dzięki zaangażowaniu niebios. A że nie ma właściwych formuł kanonicznych?

Bóg, który jest nie tylko najlepszym prawnikiem, ale jedynym prawdziwym prawodawcą, którego wola staje się prawem i to prawem, do którego muszą się dostosowywać i naginać wszystkie ludzkie prawa, sam otworzy drogę...

Tak zaskoczyło Ojca szarofioletowe światło brzasku. Łatwo przypuścić, że w którejś chwili na jego ustach pojawił się werset z psalmu 63 (62): „Myślę o Tobie podczas moich czuwań. Bo stałeś się dla mnie pomocą i w cieniu Twych skrzydeł wołam radośnie: do Ciebie lgnie moja dusza, prawica Twoja mnie wspiera”.

Jakiś jerzyk przeleciał nisko i szybko po placu Città Leonina. Dotarłszy do czerwonej ściany nerwowo zatrzepotał skrzydłami i ponownie podjął lot. Nieśmiała i gnuśna aureola światła rzuciła olśniewające blaski na witraże watykańskiej kopuły.

Na strychu słychać było odgłosy składanych łóżek, wody lejącej się z pryszniców i kranów... Przyszła już służąca – niezbyt wprawna w pracach domowych Węgierka – i słychać było, jak krząta się przy śniadaniu.

Kiedy w jakiś czas później ksiądz Escrivá opowiadał staremu prałatowi z kurii, że spędził swoją rzymską noc na czuwaniu „z nabożeństwa i miłości do Papieża”, ten człowiek opowiedział to innym..., którzy z kolei komentowali to wydarzenie wśród żartów i kpin: „Wielu śmiało się ze mnie. W pierwszej chwili to

gadanie sprawiało mi cierpienie,
później sprawiło, że w moim sercu
zrodziła się miłość do Biskupa
Rzymu, mniej *hiszpańska* –
tryskająca entuzjazmem – tylko o
wiele trwalsza, dlatego że rodząca się
z refleksji – bardziej teologiczna, a w
związku z tym głębsza. Od tego czasu
zwykłem mawiać, że *w Rzymie
straciłem niewinność* i ta historyjka
przyniosła wielką korzyść mojej
duszy”.2

Połówka mieszkania na placu Città
Leonina była tylko tymczasowym
portem, ale musieli tam mieszkać
jeszcze trzynaście miesięcy. Od 27
grudnia tego samego 1946 roku
musieli jeszcze ustąpić część miejsca,
zachowując całkowity podział i
niezależność, grupie kobiet z Dzieła,
które przybyły do Rzymu, wezwane
przez Założyciela, żeby rozpocząć
swoje własne apostołskie zadania i
zająć się prowadzeniem domu tego
ośrodka Opus Dei.

Prawdę mówiąc, w miarę, jak mijały dni, Ojciec spostrzegł, że węgierska służąca nie jest wierząca i zajmuje się bez delikatności, niedbale, drobnymi i wielkimi przedmiotami w kaplicy. To go niepokoiło. Więcej – sprawiało mu cierpienie. Do tego stopnia, że był to decydujący powód wezwania swoich córek, aby jak najszybciej przybyły do Rzymu.

Chociaż przysłowie mówi, że „Boże młyny mielą powoli” i szybkość nie jest najbardziej wyróżniającą się cechą w działaniach Kurii Rzymskiej, należy się dziwić szybkości, z jaką ksiądz Escrivá uzyskiwał pozytywne rezultaty swoich pierwszych kroków przed Stolicą Świętą.

Pierwsze słowa miłości i zachęty, jakie Escrivá usłyszał w Rzymie, pochodziły od Mons. Giovanniego Battisty Montiniego, Włocha z Bresci, inteligentnego i wrażliwego, który od zakończenia drugiej wojny

światowej, zajmował się delikatnym zadaniem przywrócenia stosunków dyplomatycznych Watykanu. Po latach Montini miał kierować Kościołem pod imieniem Pawła VI.

Obecnie, jakby wyczuwając, że prędzej czy później Pius XII i Założyciel Opus Dei, będą utrzymywać długotrwałe relacje, Montini zaczął już przygotowywać to pierwsze spotkanie przy pomocy pewnego ludzkiego detalu. Pewnego dnia, przebywając z Salvadorem Canalsem i dwoma innymi członkami Dzieła, poprosił ich „o jakieś zdjęcie Założyciela, żeby móc je pokazać Papieżowi”. Jeden z członków Opus Dei Julián Urbistondo szybko włożył rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął portfel, przeszukał go szybko i zaraz pokazał Montiniemu małe zdjęcie Ojca, z ozdobnymi, ostro zakończonymi brzegami. Przez chwilę nie był pewien, czy to

właściwe zdjęcie, a może nie chciał, żeby dotarło do rąk Ojca Świętego w takim stanie – żółtawe i zapisane na odwrocie... Montini nie mógł powstrzymać uśmiechu zdziwienia, czytając ciekawą dedykację, jaką Escrivá nakreślił na odwrocie fotografii: „Ty rozbójniku, jak traktujesz rodziców?”3.

Pius XII przyjął już dwukrotnie Álvaro del Portillo, a także, osobno, profesorów prawa Orlandisa i Canalsa, oraz naukowca José Marię Albaredę, którego wymiar intelektualny zadziwił Biskupa Rzymu. Obecnie przygotowywano pierwszą audiencję księdza Escrivy de Balaguera u Papieża, która miała się odbyć bardzo szybko – 16 lipca. Pius XII nie tylko poznał zatem różnych członków Dzieła, ale od 1943 roku modlił się imiennie za Założyciela i posiadał wśród swoich książek egzemplarz *Drogi*4.

W rozmowie prywatnej ksiądz Escrivá de Balaguer wyjaśniał Papieżowi, czym jest a czym nie jest Opus Dei. Natomiast Pius XII radził mu, aby skontaktował się z tymi, którzy prowadzili pewne prace prawne, które przyniosły później nową konstytucję apostolską *Provida Mater Ecclesia*⁵. Konstytucja ta ustanowiła instytuty świeckie. Opus Dei mogło w ten sposób uzyskać pewne kanoniczne zakotwiczenie wewnątrz Kościoła. Nie była to szczęśliwa formuła, dlatego że Opus Dei nie przeżywa ani nie ma przeżywać „stanu doskonałości”, który natomiast podejmują instytuty świeckie. Jednakże mimo wszystko w jakiś sposób został tutaj usankcjonowany nowatorski wówczas fakt, całkowitego oddania świeckich, zachowujących swój stan, zajęcie i miejsce zajmowane w świecie.

Dzięki *Decretum laudis* o aprobacie Opus Dei wydanemu zaledwie trzy tygodnie później, również przez Piusa XII, ksiądz Escrivá uzyskał uznanie *powszechnego* powołania do świętości, promowanego przez Dzieło, zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet, a także dla kapłanów, jak również dla świeckich – to samo powołanie, bez stopni, bez różnic, bez skali i szczebli.

Do tego nie potrzebował stosować skrótów ani stromych dróg przywilejów. Josemaría Escrivá modlił się i kazał się modlić, uczył się i kazał się uczyć, pracował i kazał pracować. Stukał do drzwi, gdzie musiano go słuchać. Wyczekiwał w wielu, bardzo wielu przedpokojach. I zawsze przemawiał z siłą i z pokorą kogoś, kto stara się przeforsować nie własną ambicję, tylko zadanie upragnione i pożądane przez Boga. Ta pewność, że Dzieło jest Boże, była

bez wątpienia kluczem jego siły przekonywania.

Niemniej jednak konstytucja *Provida Mater Ecclesia* nie była, i stało się to od razu jasne, „odpowiednią szatą”, żeby kroczyć ulicami świata, *nel bel mezzo della strada**, będąc zwykłymi ludźmi, *the ordinary people* – jak wszyscy inni. Dlatego w każdej chwili i na wszystkich szczeblach Escrivá twierdził z jasnością i uporem aragońskiego chłopca, że on przeżywa dynamikę oczekiwania – „ustępować, nie odstępując swych praw, z nadzieją na odzyskanie”⁶. „Opus Dei – miał napisać wiele lat później – w Kościele Bożym nastrecało i rozwiązywało wiele problemów prawnych i teologicznych – mówię to z pokorą, dlatego że pokora to prawda – które wydają się proste, kiedy są rozwiązane. Pośród nich, był problem polegający na tym, że istnieje tylko jedna klasa, chociaż

tworzona przez duchownych i świeckich”7.

Pius XII ujrzał wspaniałą panoramę – indywidualną świętość i osobiste apostołstwo, jakie Opus Dei może głosić na całej ziemi. Dostrzegł również duchowy hart Josemaríi Escrivy i Boży wymiar jego dzieła, które on sam zatwierdził definitywnie 16 czerwca 1950 roku. Wkrótce później Papież skomentował kardynałowi Normanowi Gilroyowi z Sydney (Australia), że jest pod głębokim wrażeniem niedawnej wizyty Josemaríi Escrivy de Balaguer: „To prawdziwy święty, człowiek zesłany przez Boga dla naszych czasów” (*è un vero santo, un uomo mandato da Dio per i nostri tempi*)8. Wówczas nic nie kazało przeczuwać gorzkich chwil, niezwykle ciężkich cierpień, jakie musiał znosić Josemaría bez woli Papieża za jego pontyfikatu.

W niektóre noce tego rzymskiego lata 1947 roku, a także później, kiedy plac Świętego Piotra był samotny i milczący, Ojciec schodził na dół z różnymi spośród swoich synów. Podchodzili do obelisku, który Kaligula przywiózł z Heliopolis, a Sykstus V ustawił na wielkim placu. Innym razem spacerowali pośród kolumnady Berniniego. Następnie zatrzymywali się i stojąc na ciemnym bruku Josemaría odmawiał credo, wypowiadając dobitnie każde słowo. Powiedziawszy z niezwykłą mocą „Wierzę w święty Kościół powszechny”, dodawał: „Wierzę w moją Matkę, Kościół rzymski, rzymski, rzymski”⁹. Zaś każdy wyraz „rzymski” uderzał niczym potężna fala intensywnej rzymskości.

Po upływie pewnego czasu, zaledwie kilku miesięcy, dodał inne spontaniczne i istotne zdanie, zdradzające głębokie pragnienie przezwyciężenia wprowadzających

niepokój trosk siłą wiary: „Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół... pomimo wszystko!”

Przy pewnej okazji, z całkowitą ufnością ksiądz Escrivá opowiedział Mons. Tardiniemu o tych wstawkach, o tych strumieniach przelewających się z credo. Kiedy doszedł do czysto hiszpańskiego wyrażenia *a pesar de los pesares* (‘pomimo wszystko’), przetłumaczył je:

– *Malgrado tutto...*

– Aha, a co ma na myśli ksiądz mówiąc *malgrado tutto*?

– Mam na myśli... osobiste błędy księdza i swoje własne¹⁰.

Jego starania w watykańskich gabinetach trwały intensywnie dalej. Było to natężenie prawniczej logiki, która usiłowała obalić stare kanoniczne mury, żeby otworzyć

drogę Dziełu. Nie było to łatwe. Zawiasy niektórych drzwi były pokryte wielowiekową rdzą. Formuły uzyskane w 1941, 1943 i przygotowywana wówczas, która miała się stać oficjalna w 1947 roku, były jedynymi możliwymi i najbardziej stosownymi rozwiązaniami... To znaczy, najmniej niestosownymi. Przecież „nie było jednak innego wyjścia – mogliśmy albo przyjąć wszystko, albo istnieć dalej nie mając drogi, którą można by kroczyć naprzód. W rzeczywistości służyliśmy za igłę, która ciągnie za sobą nić, a doświadczenie pokazuje nam, że ci, którzy później prosili o aprobatę jako instytuty świeckie, są zadowoleni i przyjmują z radością – dlatego że jest to ich droga – nawet rzeczy niezgodne z naszym świeckim charakterem. Codziennie widać coraz wyraźniej, że *igła* powinna wyjść poza tkaninę zwaną obecnie

instytutami świeckimi, pozostawiając za sobą nic”11.

W ten sposób minęły dwa miesiące przytłaczających rzymskich upałów – lipiec i *ferragosto**. Ojciec modlił się, pracował, uczył się, pisał, włóczył się po ulicach, rozmawiał z tym i owym, ćwiczył cierpliwość... I był chory. Jego cukrzyca była zdradziecka i nieprzewidywalna – gorączka, odwodnienie, ataki niepohamowanego pragnienia, zmęczenie mięśni, ból głowy, słabość, wycieńczenie... Jednakże Josemaría się nie skarżył. Nikt, poza księdzem Álvaro, nie dostrzegał jego udręku. Nawet chodził przed swoimi młodszymi dziećmi, z zapalem i w dobrym humorze. Niekiedy wracając do domu przy Città Leonina, wymęczeni wędrówkami i chodzeniem tam i z powrotem po urzędach kurii, dowiadywali się, że z powodu przerwy w dopływie prądu, nie działa winda. Wówczas Ojciec

zdecydowanie chwycił się poręczy i zaczął się wspinać na pierwszy odcinek schodów. Kiedy docierał na podest, mówił z sympatią:

– Mówią, że w tym domu jest pięć pięter, ale wydaje mi się, że trochę przesadzają. Są cztery, dlatego że na jedno już weszliśmy...

Trochę wyżej dodawał:

– Zresztą, czterech też nie ma, tylko trzy...

I tak żartując a nie dysząc ze zmęczenia, docierali do ostatnich stopni. Tam Ojciec się zatrzymywał, oddychał głęboko i wykrzykiwał z szelmowskim uśmiechem:

– Przecież w tym domu są ledwie dwa czy trzy schodki!12

Było w tym coś więcej niż naturalnie sympatyczny i optymistyczny charakter. Pod skórą tej

spontanicznej radości, która nie skarżyła się wobec trudności, tkwił człowiek uparty, który dzień po dniu przez wiele lat stosował wobec siebie szlachetny trening „uśmiechniętej ascezy”.

31 sierpnia ksiądz Escrivá wrócił do Madrytu. Wiózł ze sobą dwa ważne dokumenty: brewe *Cum Societatis* i list *Brevi sane*, chwalaący cele Dzieła. A także ciekawy i bardzo cenny osobisty podarunek Papieża – kompletne relikwie dwojga dzieci, chrześcijańskich męczenników: Świętej Merkuriany i Świętego Symfera. Pius XII pokazał w ten sposób, że zrozumiał podobieństwo między członkami Opus Dei i owymi pierwszymi chrześcijanami polegające na tym, że wezwanie do świętości nie zna wieku – inicjuje je Duch Święty, poprzez chrzest – i że w Dziele są mężczyźni i kobiety jak w każdej rodzinie i w każdej części ludu Bożego – dwa odrębne i różne

ciała, a przecież ożywiane jedną i tą samą duszą.

W kaplicy ośrodka dla mężczyzn pozostać miało ciało Symfera. Ciało Merkuriany zostało umieszczone pod ołtarzem w Los Rosales – ośrodku Opus Dei dla kobiet w Villaviciosa de Odón w pobliżu Madrytu – przez dwóch kapłanów: księdza Álvaro del Portillo i księdza José Marię Hernández de Garnica w obecności Ojca i niektórych spośród jego córek: Antoniety Gómez, Mari Tere Echeverría, Josefiny de Miguel...

Ksiądz Escrivá zajmował się w Hiszpanii różnymi sprawami związanymi z kierowaniem Dziełem – Rada Generalna nadal miała swoją siedzibę w Madrycie – i odpoczywał kilka dni w pobliżu Segovii, w Molinoviejo, które zaczęło funkcjonować jako dom formacyjno-rekolekcyjny. Właśnie podczas tego pobytu, na wyraźne życzenie Ojca, w

niewielkiej kapliczce w Molinoviejo miała miejsce bardzo prosta uroczystość o niezwykle wielkim, kluczowym znaczeniu – przyrzeczenia, czyli dobrowolne zobowiązanie w sumieniu, bez ślubów, pierwszych członków Opus Dei.

Krótki rzymski etap i kontakty w kurii dały księdzu Escrivie wyraźną świadomość, że wiele instytucji Kościoła ulega zachwianiu, kiedy zaczynają słabnąć dwa zasadnicze filary – osobiste ubóstwo i jedność członków między sobą oraz z osobami stojącymi na czele.

24 września, w święto Najświętszej Maryi Panny od Wykupu Jeńców, Josemaría Escrivá wspominał ową świątynię znajdującą się w pobliżu portu w Barcelonie, dokąd pospieszył prosić swoją Matkę o „pomoc” przed wypłynięciem do Genui. To dobry dzień na dobry gest. O dwunastej, w

kaplicy w Molinoviejo, wraz z najwcześniejszą grupą swoich dzieci – wszyscy są bardzo młodzi, ale w pełni świadomi faktu, że równocześnie są „najstarsi” – odmówił *Anioł Pański* przed figurą Maryi¹³. Na drewnianym ołtarzu znajdował się krucyfiks. Po obu jego stronach były zapalone dwie proste świece. Tam właśnie ci członkowie zobowiązywali się zachowywać ducha Opus Dei w takiej formie, w jakiej Bóg przekazał go założycielowi. Zobowiązywali się tak z punktu widzenia chrześcijańskiej lojalności i uczciwości. Jednym ze zobowiązań było osobiste ubóstwo, które zawsze musi być zachowywanetak, jak było przeżywane od początku. Innym – jedność z kierującymi Dzielęm. Jeszcze innym – wzajemna pomoc poprzez braterskie napomnienie.

Ha! Dla wielu zawsze pozostanie czymś niezrozumiałym – być może, patrząc na Opus Dei, zakładają

zniekształcające okulary – że jedyną „wzajemną dobroczynną pomocą” wśród członków Dzieła jest modlitwa, służba i wymagająca miłość, odcisnięta w owym „braterskim napomnieniu”, polegającym na mówieniu z lojalnością i serdecznością, *suaviter et fortiter**, wprost i w twarz, w czym powinna się poprawić druga osoba. To właśnie jest całe „sięgające wszędzie wsparcie”, jakiego każda osoba z Dzieła może oczekiwać od innych. Takie jest właściwe znaczenie pewnego zdania, które można przeczytać wypisane wielkimi literami w jednym z pomieszczeń w Molinoviejo lub na ścianie w Villa Tevere: *Frater qui adiuvatur a frater, quasi civitas firma* – Brat wspomagany od brata jest jak miasto warowne (Prz 18, 19)**. Słowa, które należą do dziedzictwa ludu żydowskiego i które król Salomon zapisał w Księdze Przysłów.

W kaplicy, na posadzce z czerwonych płytek, leżało kilka poduszeczek wypchanych ostnicą hiszpańską, chroniących osoby klęczące przed zimnem. Wychodząc, Ojciec kazał zabrać dwie czy trzy z tych poduszeczek i poprosił, żeby zachowano je dla niego na pamiątkę. Ksiądz Escrivá nie był ani nostalgiczny, ani sentymentalny. Nie był też wytwórcą relikwii. Miał jednak historyczną, wrażliwą i wyczuloną na wszystko, co dotyczyło Dzieła, świadomość.

Pewnego popołudnia, na początku listopada, ksiądz Escrivá ponownie zjawił się w Los Rosales. Tam oznajmił swoim córkom, że musi powrócić do Rzymu 8 listopada. Jednakże tym razem nie wie, ile czasu będzie nieobecny.

– We wszystkim, czego będziecie potrzebować, będzie mnie tutaj zastępował ksiądz Pedro.

I nie mówiąc nic więcej, zajrzał do przydomowego ogrodu przez oszklone drzwi. Gestem wezwał kogoś, kto czekał na zewnątrz. Natychmiast wszedł ksiądz Pedro Casciaro, młody doktor nauk ścisłych, wyświęcony na kapłana parę dni wcześniej – 29 września. W przyszłości miał on zostać sekretarzem generalnym Opus Dei i kierować Dzielęm usiłując utożsamiać się „z duchem Ojca”¹⁴.

Z ludzkiego punktu widzenia było to porywanie się z motyką na słońce. Jednakże ksiądz Escrivá posiadał gorącą wiarę w łaskę. To właśnie wówczas jakiś duchowny w Madrycie powiedział: „A teraz jedźcie do Rzymu i zostawia *Dzięło* w rękach czterech *drapichrustów...*” Na co jego rozmówca odpowiedział mu: „Jeżeli to *Dzięło* jest *Boże*, przetrwa, choćby nie było tu założyciela. A jeżeli nie jest to *Dzięło Boże*, z założycielem

czy bez założyciela – samo się rozpadnie”.

W Rzymie nasiliły się prace nad redakcją konstytucji *Provida Mater Ecclesia*. W mieszkaniu przy placu Città Leonina składano wiele wizyt. W przeważającej większości byli to dostojnicy kościoła pracujący w różnych dykasteriach i kongregacjach Kurii Rzymskiej. Niemniej jednak, Ojciec czuł się jak ściśnięta sprężyna. Nie tracono ani minuty, nie pozwalano sobie na jałowe działania, ale ksiądz Escrivá żył wewnętrznym, pospiesznym rytmem – Dzieło nie mogło poruszać się ludzkim krokiem, tylko „krokiem Bożym”. 6 grudnia ksiądz Escrivá napisał do członków Dzieła przebywających w Madrycie: „Wszystkie nasze sprawy idą bardzo dobrze, ale nazbyt spokojnie”¹⁵.

W dwa dni później Pius XII przyjął go ponownie na audiencji prywatnej. 16

dnia tego samego miesiąca w kolejnym liście do swoich w Madrycie Escrivá wskazywał: „Nie zapominajcie, że to w oktawę święta Najświętszej Maryi Panny, w Rzymie zaczęło dojrzewać *rozwiązanie*”¹⁶. Założyciel mógł wiedzieć, że Stolica Święta jest nie tylko gotowa, ale wręcz pragnie udzielić jak najwcześniej aprobaty Opus Dei. Należało wykorzystać tę okazję, choćby miano uzyskać zaledwie coś tymczasowego. Starania posuwały się zatem do przodu.

27 grudnia Ojciec i ksiądz Álvaro udali się na lotnisko wojskowe w Ciampino, żeby powitać pięć kobiet z Dzieła przybywających z Hiszpanii. Były to Encarnita Ortega, Dorita Calvo, Julia Bustillo, Rosalía López i Dora del Hoyo. Wraz z nimi strych przy placu Città Leonina nabrał rzeczywiście miłej i gościnnej atmosfery ogniska domowego. Chociaż już na początku było tak, że

jeśli chodzi o gościnność,
gościnność... strych nie mógł ugościć
nawet ich wszystkich. Po pierwsze
dlatego, że się tam nie mieściły. Po
drugie zaś dlatego, że w ośrodkach
Opus Dei zawsze musi istnieć
całkowity fizyczny i materialny
rozdział między kobietami a
mężczyznami.

Niektóre z przybyłych zamieszkały
na pewien czas w innym domu a
potem w jakimś ośrodku.

Wkrótce rozpoczęto poszukiwania
definitywnej głównej siedziby Opus
Dei. Mons. Montini i Tardini
zasugerowali księdzu Escrivie, żeby
zamieszkał w pobliżu Stolicy Świętej,
żeby zorganizował dom, „i to
obszerny”, w Rzymie. Ojciec zanurzył
rękę do kieszeni i wymacał tam tylko
chusteczkę, mały kalendarzyk i
różaniec... Nie mieli pieniędzy,
starczało im zaledwie na tyle, żeby
„jakoś sobie radzić” na co dzień. A

kiedy przychodzili goście, było już wiadomo, że hojność gospodarzy wystawi później bezlitosny rachunek – albo nie będzie kolacji, albo nie będzie śniadania. Czasami nie było opału ani gazu. Zaś Julia i Dora wychodziły z siebie, żeby coś ugotować, rozdmuchując węgiel trzeszczący w ogrzewaczu.

Nie mieli pieniędzy. Jednak, czy może kiedyś mieli je „w nadmiarze”?

Wiedzieli, co znaczy jeść zupe... z gwoźdźcia albo odwracać stare ubranie na lewą stronę, żeby wykorzystać mniej zużytą stronę tkaniny, albo oszczędzać na świetle i ogrzewaniu albo oszczędzać do ostatniego grosza, albo robić w domu spaghetti, dlatego że w ten sposób wychodziło taniej... Nigdy nie mogli jednak sobie pozwolić na luksus „oszczędzania”. Przedsięwzięcie, którym byli zajęci, było żywe, rosło, rozwijało się, rozrastało na inne kraje... Wyciągało z nich i domagało

się od nich coraz więcej i więcej.
Niemniej jednak, w ten czy inny
sposób, w ważnych chwilach nigdy
nie brakowało im tego, co potrzebne.
Josemaría doświadczał tego w
cudowny sposób tak wiele razy, że z
przekonaniem kogoś, kto opowiada
własne przeżycia, mógł napisać:
„Boże mój, Ty zawsze przybywasz z
pomocą w prawdziwych
potrzebach”17.

Kardynałowie, biskupi, prałaci i
kapłani odwiedzali ich często na
Città Leonina. Dwóch kanonistów
Arcadio Larraona i Siervo Goyeneche
odwiedzało ich szczególnie
wytrwale. Spędzali z księżmi Escrivą
i Del Portillo długie dni, wymieniając
opinie prawne i pracując nad
brudnopisami konstytucji *Provida
Mater Ecclesia*. Te wizyty wprawiały
w niepokój dziewczęta z Dzieła, które
musiały dokonywać czarodziejskich
sztuczek w ubogiej spiżarni. Hasłem
ojca Goyeneche było: „nie mniej niż

trzy i nie więcej niż trzydzieści trzy filiżanki kawy”. Ten uczony i serdeczny człowiek pochłaniał kawę litrami... Działo się to zaś w Rzymie zubożonym przez wojnę, gdzie nie tylko kawa, ale jajka albo woda kolońska były czymś więcej niż artykułami luksusowymi – wręcz „artykułami wiary”.

Rada Montiniego i Tardiniego była bardzo dobrze uzasadniona – należało zamieszkać w pobliżu Stolicy Świętej. Przyczyny tego były różne. Należało wydeptywać drogę prawną. Dzieło powinno było się „zromanizować”, co nie oznaczało „watykanizacji”, tylko propagowanie własnego autentycznego, powszechnego charakteru z Rzymu. Escrivá chciał, aby Papież odczuwał bliskość jego miłości dobrego syna i aby mógł liczyć na Dzieło jako narzędzie apostolstwa świeckiego, „które pragnie tylko służyć Kościołowi, nie posługując się nim”.

W końcu wreszcie była jeszcze jedna, wcale nie błaha przyczyna: oddalić się od Hiszpanii, gdzie tak niełaskawe były w owym czasie fale niezrozumienia i wrogości.

W Hiszpanii oczerniano założyciela Opus Dei przy pomocy oszczerstw najcięższego kalibru: heretyk, sekciarz, mason, skryty, oszust młodzieży, żądny zaszczytów, polityczny oportunistą, doszukujący się wszędzie cudów, wariat...

Wielokrotnie, przy śniadaniu, po odprawieniu mszy, ksiądz Escrivá pytał Álvaro del Portillo:

– Skąd będą nas dzisiaj obrażać, mój synu?18

W pewnym momencie doszedł do tego, że powiedział, iż czuje się „jak spluwaczka, do której wszyscy, jak sądzą, mają prawo spluwać”19.

Po latach powiedział żartując:

– Bardzo dobrze znam moich rodaków. Jako że tak źle mnie traktowali i nadal traktują, po śmierci zechcą nosić na ramionach moje ciało tam i sam po Półwyspie Iberyjskim, ale nie zgadzam się na to. Spocznę tutaj, w Rzymie, w jakimś kąciку tego domu...20

Mons. Giovanni Battista Montini, odnosząc się właśnie do tych ataków i przeciwności, zastanawiał się głośno w obecności Escrivy de Balaguer:

– Pan dopuścił, abyście cierpieli od początku to, co inne instytucje cierpią, kiedy istnieją już wiele lat...
21

Cierpienie...? Tak, wielkie, ale bez niepokoju i strachu, dlatego że był człowiekiem, który umiał ufać Bogu. Ufać bez podejmowania asekuracyjnych środków ostrożności. Ufać bez zastanawiania się nad następnym posunięciem szachowym.

Ufać na ślepo, jak ufa się dobrej miłości.

Kiedy Josemaría Escrivá udał się do gabinetu doktora Carlo Faellego, specjalisty endokrynologa, żeby dalej prowadzić leczenie w Rzymie, doktor zapytał go po badaniu:

– Czy miał ksiądz wiele przykrości?...
Do cukrzycy dochodzi czasami
wówczas, kiedy przeżywa się
poważne problemy...

– Nie.

Ksiądz Escrivá nie kłamał.
Przeciwności zawsze spadały na
niego znienacka. Przyjmował je nie
ze stoicyzmem, nie z brakiem
rozsądku, tylko z przekonaniem, że
kiedy spełnia się wolę Bożą,
„przeciwności przestają być
przeciwnościami”22. I tak kroczył
dalej zadowolony swoją drogą.

Po wizycie, sporządzając notatkę do historii klinicznej, doktor Faelli napisał: „Zapytałem go, czy miał przykrości. Mówi, że nie, jestem jednak pewien, że wiele w życiu wycierpiał”. *È'un uomo che ha sofferto molto, anche se afferma di non aver avuto dispiaceri*²³. Wiele lat później, 23 czerwca 1971 roku, kiedy miało dwadzieścia pięć lat od przybycia założyciela Opus Dei do Rzymu, podczas spotkania ze swoimi dziećmi w Villa Tevere, głównej siedzibie Dzieła, opisał wspomnienia tak samo żywe w jego pamięci, jak niezniszczalne w jego sercu. Były to doświadczenia wyuczone *par cœur*^{*}, jak mówią Francuzi:

– Dwadzieścia pięć lat dobroci od Boga... cierpień..., radości..., nauki... i tracenia niewinności. Och, tutaj, tutaj właśnie staliśmy się powszechni.

Później, jakby podsumowując bilans, powiedział optymistycznie:

– Muszę podkreślić, że nie czuliśmy się nieszczęśliwi ani przez sekundę. Teraz jednak lepiej zrozumiecie, dlaczego powtarzałem owo *prima, più, meglio* („najpierw, bardziej, lepiej”). Wszystko było niewspółmierne do potrzeb – środki ludzkie, środki materialne... Gdybyśmy nie uczynili podstawą Boga, nie dałoby się niczego zrozumieć. Jestem bardzo wdzięczny, bardzo wdzięczny, Ojcu, Synowi i Duchowi Świętemu²⁴.

Tego samego dnia kobiety z Dzieła mieszkające we Włoszech przesłały mu bardzo wcześnie bukiet dwudziestu pięciu czerwonych róż... bez kolców. Ma to swoje znaczenie. Podczas jednej z podróży księdza Escrivy do Hiszpanii, kiedy jeszcze zarząd Dzieła znajdował się w Madrycie, członkowie Rady Generalnej wstrzymali pewną skomplikowaną sprawę o trudnym rozwiązaniu, żeby Ojciec

przestudiował ją z nimi i wskazał, jak ją rozstrzygnąć. Będąc wielkim miłośnikiem odpowiedzialnej wolności i zasady, że w zadaniach zarządzania, „każdy maszt podtrzymuje swój żagiel”, Escrivá powiedział im przy tej okazji:

– Moje dzieci, kiedy umrzecie, kanonizują was... dlatego że jesteście bardzo dobrzy! I na waszych portretach namalują was bardzo ładnych, bardzo przystojnych... dlatego że tacy jesteście! I w ręce włożą wam mnóstwo róż. Tak, mnóstwo róż... Czy chcecie wiedzieć, dlaczego? Otóż... dlatego że kolce zostawiliście dla mnie²⁵.

I tak, po upływie tych wszystkich lat Ojciec wzruszył się subtelnością swoich włoskich córek. Chciał spotkać się z niektórymi z nich, żeby im podziękować. Na fali wspomnień powiedział:

– Te róże przyszły bez kolców. Kolce, i to w dużej ilości, przyszły wcześniej... Zdarzały się też czasem róże, ale było wiele, wiele kolców! Gdybym musiał przeżyć jeszcze raz te dwadzieścia pięć lat, nie dałbym rady.

W tym momencie zrobił króciutką przerwę i natychmiast, po lekkim wahaniu, dodał:

– A jednak, dałbym radę...! Z Bożą pomocą z pewnością dałbym radę!26

ROZDZIAŁ IV

Villa Tevere od środka. Dom ojca rodziny. Ostre walki nad Tybrem. Drzwi o grubości pięćdziesięciu tysięcy kilometrów. „Bankier” Opus Dei. „Gdzie będę spał tej nocy?”. Dziesięć lat pośród rusztowań i murarzy. „Módlmy się, żebyśmy jedli”. Cios w duszy.

Przebiegali Rzym od krańca do krańca w poszukiwaniu domu. Nie jakiegokolwiek domu – nie chodziło ani o barak, ani o pałac, ani o mieszczański dworek, ani o żołnierskie koszary, ani o hotel na godziny, ani biurowiec... Miał to być dom na ówczesną chwilę i na wieki, dom ojca bardzo, bardzo licznej rodziny. Miała to być główna siedziba Opus Dei, o trwałym charakterze, o godnym wyglądzie, o dużej pojemności i możliwości rozbudowy, w przewidywaniu przyszłości, w której przybędą tam, żeby mieszkać, uczyć się i korzystać z formacji mężczyźni i kobiety ze wszystkich krajów świata.

W antykwariacie prowadzonym przez pewnego Żyda na placu Hiszpańskim Ojciec i ksiądz Álvaro zobaczyli cenną barokową rzeźbę Madonny. Niezwykle tania: osiem tysięcy lirów (osiemset peset). To okazja, której nie chcieli stracić,

myśląc już o przyszłej siedzibie. Musiało jednak minąć kilka tygodni, ponad miesiąc, zanim zdołali zgromadzić tę kwotę¹.

Za księdzem Escrivą nie stał żaden mecenas, żaden promotor, żaden wielkoduszny sponsor. W owym czasie, do policzenia powołań do Dzieła we Włoszech wystarczyłyby palce jednej ręki. W Hiszpanii Dzieło funkcjonowało już w stabilny sposób w Madrycie, Barcelonie, Saragossie, Walencji, Bilbao, Grenadzie, Valladolid, Santiago de Compostela... Jednakże młode dziewczęta mieszkające w Los Rosales, studiowały a równocześnie hodowały kurczaki i uprawiały warzywa, żeby mieć co włożyć do garnka. Również mężczyźni w Molinoviejo łączyli studia i prace przy rozbudowie domu z organizacją niewielkiego gospodarstwa. Wybitnym architektom, inżynierom, fizykom, adwokatom czy

matematykom korona z głowy nie spadła z tego powodu, że toczyli bitwy z kurami, świniami i paroma mlecznymi krowami. Resztki pyłu węglowego mieszało się z gipsem i służyło to do ogrzewania. Natomiast w kuchni wymyślano wyrafinowane hamburgery... z gotowanego i rozdrobnionego ryżu. Były to prowizoryczne i malownicze rozwiązania, żeby wyjść z ciężkiej sytuacji. Jednakże taki jest prawdziwy obraz zarządzania finansami Opus Dei w owych latach.

Powojenne Włochy to niezwykle interesująca republika arystokratyczna, w której księżniczki, książęta, hrabiowie i markizy w potrzebie, ale z godnością, roili się na zubożałych salonach, dawniej lśniących blaskiem elit. Niektórzy mieli najświeższe wiadomości o wynajmowanych domach, odstępowanych pałacach, meblach idących na licytację,

sprzedawanych dywanach, lampach i obrazach... Wszystko to odbywało się „bez pośredników”, z dyskrecją wstydliwego ubóstwa i za niewielką garść lirów.

Pewnego dnia przy placu Città Leonina zadzwonił telefon. Po drugiej stronie księżna Virginia Sforza-Cesarini. Wyraz zdumienia na twarzy tego, kto jeszcze trzymał w ręku słuchawkę i na twarzach innych domowników... Nie znali jej.

– Dowiedziałam się, że szukają państwo domu, rezydencji... Być może wiem coś, co mogłoby się państwu przydać. Byłoby mi bardzo miło, gdyby zechcieli mnie państwo odwiedzić w domu w porze popołudniowej herbaty...

Poszli księża Escrivá i Del Portillo. Księżna Sforza-Cesarini była miłą i czarującą damą, jednakże oferta, którą im przedstawiła w imieniu osoby trzeciej, nie zainteresowała

ich. Jednym z powodów było to, że dom znajdował się poza Rzymem. Ojciec wykorzystał wizytę, żeby porozmawiać z księżną o miłości do Boga, o życiu modlitewnym, o wartości cierpienia. Później wyjaśnił jej, czym jest Opus Dei, jaki ma być wymiar jego apostołstwa na całym świecie i jak to zadanie ma się rozchodzić z samego serca Kościoła – z Rzymu.2

Virginia Sforza była pod wielkim wrażeniem i ofiarowała się z pomocą w poszukiwaniu nieruchomości. W kilka dni później ponownie się z nimi skontaktowała: „Mam coś, co wydaje mi się interesujące”. I rzeczywiście było interesujące. Chodziło o duży dom z ogrodem, z możliwością rozbudowy, w dzielnicy Parioli. Dom ten należał do pewnego arystokraty, hrabiego Gori Mazzoleniego, który chciał go sprzedać, żeby wyjechać z Włoch. Dom został wynajęty na ambasadę Węgier przy Stolicy

Świętej, ale to przedstawicielstwo dyplomatyczne zaprzestało działalności po zerwaniu stosunków między komunistycznym rządem Węgier a Państwem Watykańskim. Właściciel chciał sprzedać dom jak najszybciej i bez pośredników.

Ojciec, Álvaro del Portillo, Salvador Canals i jeszcze paru z nich pojechało obejrzeć domostwo. Rezydencja wypełniała przestrzeń między viale Bruno Buozzi a Via di Villa Sacchetti. Ogród dochodził do Via Domenico Cirillo. Hrabia Gori Mazzoleni przyjął ich w mieszkaniu dozorczy, gdzie mieszkał. Główna część nieruchomości była wciąż zajęta przez kilku funkcjonariuszy i urzędników węgierskiego poselstwa, którzy, całkowicie wbrew prawu nie spieszyli się z wyjazdem i mieli tam spędzić prawie kilka lat.

Ojcu spodobały się usytuowanie domu, obszerność terenu nadającego

się do zabudowy, główny budynek w stylu florenckiego quattrocento... Powierzył księdzu Álvaro starania, żeby nabyć nieruchomość. Jako że nie mieli pieniędzy, jedynym sposobem było kupienie nieruchomości za symboliczną pierwszą ratę. Później należało uzyskać kredyt pod zastaw nieruchomości i zapłacić tę kwotę sprzedającemu.

To Del Portillo, Canals i zaprzyjaźniony adwokat, doktor Merlini, targowali się i negocjowali. Udało im się obniżyć kwotę ustaloną na początku tak bardzo, że nieruchomość wydawała się nieomal podarunkiem. Po upływie dwóch lub trzech lat nieruchomość ta kosztowałaby nawet trzydzieści lub czterdzieści razy więcej. Jednakże jest faktem, że wówczas nie mieli nawet tej niewielkiej kwoty. Zaczęła się gimnastyka związana z pozyskiwaniem pieniędzy od tych,

którzy mogli dać. Uzyskali od właściciela domu to, że dokonał sprzedaży bez pieniędzy... wręczyli mu jako zastaw kilka złotych monet, które przechowywali, żeby sporządzić naczynie sakralne. Jako że nie chcieli utracić tych monet, zapisali w umowie, że zaliczka zostanie im zwrócona, kiedy zapłacą całą kwotę. I zobowiązali się dokonać całej płatności w ciągu dwóch miesięcy. Jedynym warunkiem Gori Mazzoleniego było, żeby ustaloną kwotę wypłacono mu we frankach szwajcarskich. Jeśli chodzi o resztę, miał poczekać, aż kupujący zbiorą pieniądze³.

Kiedy po podpisaniu umowy, o jakiejś niezwykle wczesnej godzinie Álvaro del Portillo i Salvador Canals wrócili na plac Città Leonina, Ojciec czekał na nich. Nie tylko nie spał, ale modlił się klęcząc w kaplicy⁴.

– Przyjął złote monety... i dał nam w zapasie kilka miesięcy! Warunek jest taki, że zapłacimy mu we frankach szwajcarskich...

Escrivá de Balaguer zaczął się śmiać i wziął się pod boki, zaskoczony i rozweselony:

– Nic nie szkodzi! Nie mamy ani lirów, ani franków... A Panu wszystko jedno, czy to jedna waluta, czy druga⁵.

Później, prosząc swoje córki, żeby modliły się za tę sprawę, powiedział im z szelmowskim mrugnięciem:

– Tylko się nie pomylcie co do waluty. Mają być franki szwajcarskie!⁶

Pieniądze nie zostały jeszcze zapłacone, kiedy hrabia Gori Mazzoleni spotkał pewnego dnia na ulicach Rzymu Encarnitę Ortega i Conchę Andrés. Zatrzymał swój samochód i zawiózł je na plac Città

Leonina. Po drodze rozplýwał się w pochwałach na cześć księdza Álvaro:

– Dla mnie jest on nie tylko uczciwą osobą, z którą utrzymywałem stosunki handlowe. Uważam go za lojalnego przyjaciela, roztropnego doradcę... i wspaniałego kapłana⁷.

Trochę później, kiedy członkowie Dzieła przenieśli się już do domu przy viale Bruno Buozzi i mieszkali w części należącej niegdyś do dozorczy, hrabia odwiedził ich.

Wszedł do środka swojego dawnego mieszkania i wpatrując się w blask podłóg zapytał Salvadora Canalsa:

– Zmieniliście podłogę?

– Nie. Jest ta sama... tylko że czysta⁸.

Hrabia mógłby powiedzieć to samo trochę później, gdyby odwiedził główną część domu. Umyto kilka ścian, inne zostały wyściełane, chociaż oszczędzano tkaninę w tych

miejscach, które miały zostać zakryte wielkimi obrazami. Członkowie Dzieła osobiście zajęli się gruntownie dekoracją, malując sufity, belki, futryny drzwi... Były to te same pokoje, ale czyste i własnoręcznie wymalowane.

Od lipca 1947 roku do lutego 1949 roku, to znaczy, miesiąca, kiedy węgierscy lokatorzy opuścili dom, członkowie dzieła mieszkali na dwóch piętrach domku dozorczy. Na górze znajdowała się administracja i jadalnia, na dole – mieszkania – *Il Pensionato*.

Nie było wielu pokoiów, za to wielu lokatorów. Każdy metr kwadratowy był intensywnie wykorzystywany na różne sposoby. Niekiedy mieli wrażenie, że znajdują się w autobusie w godzinach szczytu. Było tylko jedno „gotowe” łóżko – stałe, z nogami i ramą. Nocą rozkładało się materace, jak na obozach. Nie

dramatyzując, nawet z humorem, Ojciec wspominał później ten dziwaczny i niewygodny sposób życia: „Jako że nie mieliśmy pieniędzy, nie włączaliśmy ogrzewania. Nie mieliśmy też miejsca do spania. Nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy odpoczywać w nocy – czy przy drzwiach wejściowych, czy w tym kącie, czy w tamtym. Było tylko jedno łóżko i rezerwowaliśmy je na wypadek, gdyby ktoś był chory [...]. Żyliśmy, jak Święty Aleksy, pod schodami”9.

W tym wspomnieniu Escrivá pominął to, że jeśli ktoś był przeziębiony albo miał objawy grypy, on pierwszy rozkładał swoją matę pod stołem w jadalni i kładł się tam spać. Albo też, jeżeli włączano mu prymitywny piecyk elektryczny, gasił go, dlatego że napawała go odrazą myśl, że będzie mu ciepłutko, podczas gdy jego dzieci będą marzły.

W ciągu dnia wszyscy pomagali w pracach i w dekorowaniu, uczyli się, chodzili na papieskie uniwersytety i prowadzili intensywne apostołstwo wraz z innymi studentami. Wkrótce Opus Dei rozprzestrzeniło się w wielu włoskich miastach: Turynie, Bari, Genui, Mediolanie, Neapolu, Palermo...

Do ekwilibrystyki koniecznej, żeby zapłacić za nabytą własność i zapewnić utrzymanie ich wszystkich, dochodziły koszty rozpoczętych prac. Przez jedenaście lat mieli żyć pośród rusztowań, młotów, gromad majstrów, murarzy, cieśli, hydraulików..., którym trzeba było nieuchronnie zapłacić co sobotę o pierwszej piętnaście po południu.

Tym wszystkim zajmował się ksiądz Álvaro. Wnioskował o kredyty, podpisywał weksle, pożyczał pieniądze. To on uwzględniał niektóre – nie wszystkie – trudności,

z jakimi zderzali się przy zakupie materiałów budowlanych i cotygodniowej zasłużonej wypłacie dla robotników:

„Za pierwszym razem mogliśmy zapłacić bez problemów, dlatego że zaoszczędziliśmy trochę pieniędzy, ale za drugim już nie. I zaczęliśmy szukać po całym Rzymie ludzi, którzy pożyczyliby nam potrzebną sumę. Zaofiarowała się jedna osoba, ale następnego dnia powiedziała, że trzeba by zastawić dom, co było kompletnie nieproporcjonalne do kwoty, o którą prosiliśmy. Straciliśmy jeden dzień. Zbliżała się sobota i bez względu na wszystko musieliśmy zapłacić robotnikom.

Ostatecznie porozmawialiśmy z mecenasem Merlinim, który miał niezwykle sympatyczną bródkę i był bardzo litościwym, bardzo dobrym człowiekiem i kompetentnym prawnikiem. Pomógł nam przy

kupnie domu i przy wielu innych sprawach. „Tym razem – powiedział – przypadkiem mam pieniądze pozostawione mi przez klienta, którymi mogę dysponować przez rok”. Pożyczył je nam bez procentu i wystarczyło to na wypłaty w ciągu dwóch tygodni.

Później Pan sprawił, że mogliśmy sobie radzić wykorzystując weksle i dokonując swoistej ekwilibrystyki. Przypominało to przekładanie pieniędzy z jednej kieszeni do drugiej – szaleństwo, źródło cierpień. A w jaki sposób udawało nam się płacić? To cud. Nie wiem jak, ale zawsze płaciliśmy”10.

Pewnego dnia ksiądz Álvaro zachorował. Miał czterdzieści stopni gorączki. Ojciec podszedł do wezglowia jego łóżka i widząc go w tak złym stanie i tak zmartwionego, dlatego że „zbliżała się sobota... i godzina wypłaty”, zapytał go:

– Alvarico, mój synu, a co się stanie, co się może stać, jeśli za którymś razem im nie zapłacimy i zaczekamy, aż będziemy mieć pieniądze?

– Co się może stać?... Mnie nie przeszkadza, że pójdę do więzienia, ale tutaj chodzi o honor Dzieła.

– W takim razie... wstawaj i idź szukać gdzie się da tych pieniędzy.

Czekając na powrót księdza Álvaro Josemaría Escrivá poszedł, jak wiele innych razy, poprosić swoje córki o intensywne modlitwy w tej intencji. Widać było, że jest głęboko zaniepokojony:

– Czy ja jestem łajdakiem?... Zabijam Álvaro... Jednakże nie mamy innego rozwiązania. To jedyna osoba, która może iść do banków i to rozwiązać, dlatego że go tam znają i mu ufają. Ja już dawno bym umarł od małej części, tylko od małej części tego, co on nosi na swoich barkach ...

Później, żeby rozładować napiętą sytuację, dodał z dobrym humorem:

– Choroba, na którą jest chory mój syn Álvaro, została natychmiast uleczona, gdybyśmy położyli mu na wątrobie gruby plik lirów... Albo jeszcze lepiej – funtów szterlingów!

Po chwili Del Portillo wrócił z miasta. Ojciec wyszedł mu na spotkanie:

– Masz je?

– Tak, Ojcie.

– A jak je zdobyłeś?

– Jak zawsze, Ojcie, przez posłuszeństwo¹¹.

W końcu znaleźli firmę budowlaną, której właścicielem był Leonardo Castelli. Człowiek ten obejrzał rozpoczęte prace i plany tego, co miało być zrobione. Zrozumiał, że nie jest to przypadkowy projekt, tylko że musi on zostać zrealizowany

starannie, ponieważ chodzi o dzieło, które ma przetrwać wieki. Miał zaufanie do prawości i uczciwości księdza Álvaro... i zdecydował się działać w roli wykonawcy. Odtąd Castelli wypłacał co tydzień pieniądze robotnikom. Zwiększył nawet ich liczbę, żeby budowa szła szybciej naprzód. Del Portillo musiał stawiać czoła fakturze Castellego co sześćdziesiąt albo co dziewięćdziesiąt dni. Dług zatem się nie zmniejszył, ale wydłużył się termin płatności.

Niemniej jednak, nikt nie opuszczał posterunku. Wszyscy w domu zaciskali pasa. Wstawali wcześnie, dlatego że musieli iść piechotą na uczelnie, żeby zaoszczędzić pieniądze na bilecie trolejbusowym czy tramwajowym. Podczas tych długich wędrówek mieli na nogach espadryle, a buty nosili w ręku w paczce – dzięki temu nie zużywali zelówek. Po drodze jeden z nich czytał głośno temat zajęć z danego

dnia a pozostali uczyli się w rytmie ulicznego marszu. Zręcznie i precyzyjnie podzielone pudełeczko dwudziestu papierosów pozwalało uzyskać do sześćdziesięciu minipapierosów. *Bardziej bolał głód!*
* A przy tym wszyscy znosili tę sytuację ze wspaniałym wdziękiem.

Jako że domostwo było wielkie, miało siedmioro drzwi wejściowych. Zostawili do użytkowania tylko dwoje z nich i zamknęli pozostałe. Jednakże pieniędzy nie starczyło nawet na to, żeby *lo zio Carlo***, stolarz, którego znali z placu Città Leonina, zrobił trochę osłon z deszczulek. Carlo zrobił im tylko połowę. Po upływie pewnego czasu, kiedy mogli już zapłacić, skończył swoją pracę. Tymczasem gazetami i workami zatykali spojenia i szpary, żeby chronić się przed zimnem.

Wówczas, w marcu 1948 roku Josemaría Escrivá cierpiał na

porażenie mięśni twarzy *a frigore**,
ale wiedziały o tym tylko trzy osoby.
Nigdy nie lubił zawracać nikomu
głowy swoimi dolegliwościami.
Opowiadał dopiero wiele lat później:

– Ja też miałem taką twarz
dwadzieścia pięć lat temu. W Rzymie
jest trzech świadków. Jednakże nie
był to żart otoczenia. Po prostu nie
mieliśmy pieniędzy na ogrzewanie a
tam panowała straszliwa wilgoć...12

Przystąpili do robót na wielką skalę,
żeby zorganizować biura i
rezydencję Rady Generalnej i
Asesorii Centralnej^{**}. Przez wiele lat
mieli tam również mieszkać
wykładowcy i studenci Rzymskiego
Kolegium Świętego Krzyża, dopóki w
1974 roku nie przeprowadzili się do
Cavabianca, oraz wykładowcy i
studentki Rzymskiego Kolegium
Najświętszej Maryi Panny, które w
1963 roku zamieszkały w
Castelgandolfo. Oprócz tego liczny

personel administracji domowej, która musiała zajmować się nimi wszystkimi. W sumie ponad trzysta osób.

Pewnego dnia, spacerując po jakiejś części domu z jednym ze swoich synów, marynarzem Rafaelem Caamaño ksiądz Escrivá tłumaczył mu, że wiele z architektonicznych czy dekoracyjnych rozwiązań zostało wziętych z różnego otoczenia w rozmaitych miejscach, podczas przechadzek po Rzymie albo podróży po Włoszech. „Nie chodzi o to – mówił mu – żeby być oryginalnym, tylko żeby wykonać rzeczy dobrze”. A potem, jakby się śmiejąc z tego, że niektórzy mogliby pomyśleć, iż ten dom udaje wielki dwór, dodał z rozbawieniem:

– Skopiowaliśmy tak wiele ładnych domów z tego czy innego miejsca, że tutaj wszystko ma *przodków* i *genealogię*... Oprócz tego, kiedy się

coś kopiuje, można to bardzo tanio poprawić i wykonać z mniejszą liczbą wad¹³.

Ksiądz Escrivá śledził prace z bliska, w fazie planowania i już podczas budowy. Wchodził na rusztowania z architektami albo z murarzami. Czasami, w dni wolne, chodził ze swoimi córkami, żeby skorzystały „patrząc z wyobraźnią”, gdzie będzie się znajdować to czy tamto... Nie jest to „jego” dom. To dom wszystkich, dom wielkiej rodziny.

Podczas jednej z tych wizyt pokazał im wielki krucyfiks, który umieszczono w *galleria di Sotto*:

– Powiedziałem artyście, żeby się szczególnie postarał, żeby spróbował wyrzeźbić Chrystusa żywego, pogodnego, a nie powykręcanego na krzyżu, tak, aby spoglądając na niego, serce rwało się do skruchy.

Następnie przeczytał zdanie, które polecił umieścić z boku, na tabliczce. Były to słowa, którymi Piotr odpowiedział Jezusowi, kiedy ten trzykrotnie zapytał go:

– Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie więcej aniżeli ci?

– *Domine, Tu omnia nosti, Tu scis quia amo te* (Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię kocham)*.

Ksiądz Escrivá zapatrzył się w krucyfiks. Cichym krzykiem, jakby niechcący, wyrwały mu się cztery sylaby:

– I to bardzo!14

Żyli w niewygodzie, w ciasnocie, w surowych warunkach. Wilgotny chłód zimą. Duszący upał latem. I głód. Bez eufemizmów i mydlenia oczu upiększających prawdę sam Ojciec powiedział swoim dzieciom:

– Tutaj nie możecie być wygodniccy. Żyjecie po ludzku źle... i dzięki Bogu!, chociaż przed laty żyliśmy o wiele gorzej. Opowiadałem wam tyle razy, że wielu waszych braci cierpiało ze mną głód. Nie przez jeden czy dwa dni, tylko przez długie okresy. Nie mieliśmy ani grosza¹⁵.

Jednakże po upływie pewnego czasu nikt nie miał pamiętać tych niedostatków. Kiedy, już zahartowani przez lata, przypominali tamten rzymski okres, umieli tylko opowiadać o niezmiernej miłości Ojca, czulej i mocnej zarazem wobec każdego, kiedy „nazywał i pamiętał nas po imieniu, po naszych rodzinnych *nomignoli*^{**}: Pepele, Pilé, Oly, Beto, Wally, Riny, Cipry, Babo, Quecco... Dlatego że tym byliśmy i tym jesteśmy: *una bella e grande famiglia*^{***}”.

Wielokrotnie, wykorzystując przerwę w pracy, ksiądz Escrivá

wychodził do niewielkiego ogrodu,
znajdującego się przed Villa
Vecchia*. Trochę spacerował,
odmawiając część różańca albo
gawędził z kimś, kto mu towarzyszył.
Była to jego chwila odpoczynku.
Jednakże nie mógł unikać, nie chciał
unikać towarzystwa swoich dzieci.
Spoglądał ku oknom otwartym, być
może dlatego że było gorąco.
Wszyscy byli zajęci – uczyli się albo
pracowali. Jeżeli zobaczył czyjąś
głowę, wołał zachrypniętym głosem,
żeby lekko zwrócić na siebie uwagę.
A jeśli zawołany się wychylał, dawał
mu znak, żeby zszedł na dół i
przyszedł do niego. Nim minęła
minuta, był już otoczony dziećmi
lejącymi jak pszczoły do ula.
Natychmiast zostaje
zaimprovizowane wędrowne
spotkanie, przemieszczające się
powoli tam i sam po ogrodzie
rezydencji. Przy innych okazjach
ksiądz Escrivá siadał w kącie na
skrzyżowaniu zwanym Arco dei

Venti, być może dlatego że był tam nieco większy ruch powietrza^{**}. Mówił swoim dzieciom na tematy nadprzyrodzone. Dawał im pić ducha Dzieła ze swojego własnego źródła. Zapominał o swoim zmęczeniu i oddawał się im z ochotą.

Pewnego popołudnia 1954 roku rozmawiał w ten sposób ze swoimi dziećmi, kiedy nagle przerwał wątek wypowiedzi. I spoglądając na nie długo, pojedynczo, gorącym spojrzeniem, pragnącym wyrażać czułość, pytał ich bez ogródek:

– Czy wiecie, moje dzieci, dlaczego tak bardzo was kocham?

Zapanowała pełna wyczekiwania cisza, aż ciężka od zainteresowania. Minęło kilka sekund, dostatecznie długich, żeby każdy sam zadał sobie pytanie: „Dlaczego mnie Ojciec tak bardzo kocha?”

Odpowiedź padła z
niepowstrzymaną siłą i mocą:

– Kocham was tak bardzo, dlatego że
widzę, jak w każdym z was burzy się
Krew Chrystusa¹⁶.

Problemy finansowe miały być stałą,
naturalną atmosferą w życiu
Josemaríi Escrivy, chociaż nigdy z
powodu braku pieniędzy nie
zaprzestał robienia tego, czego w
danej chwili wymagało
propagowanie Opus Dei. Z ogromną
wiarą wprowadzał w czyn ową starą
radę: „Wydań tyle, ileś winien,
choćbyś był winien tyle, ileś
wydał”¹⁷.

Niemniej jednak, troska o środki
materialne ani na chwilę nie dawała
mu spokoju. Kiedy mieli największe
trudności, w październiku 1948 roku,
Ojciec prowadził „dni pracy” ze
swoimi córkami pełniącymi w Dziele
kierownicze stanowiska. Zbierali się
w Los Rosales. Uczyli się i pracowali

intensywnie, żeby w trzy dni zrealizować program, który powinien trwać tydzień. Tematy były bardzo różnorodne. Od formacji duchowej członków Opus Dei do materialnej troski o ośrodki, od nowych inicjatyw apostolskich do konieczności fizycznego odpoczynku...

Kiedy nadeszła kolej na sesję zatytułowaną „Studium sytuacji finansowej”, uczestniczki przypuszczały, że dzięki tej analizie uzyskają rozwiązania finansowe dla utrzymania dzieł apostolskich. Na stole w jadalni – gdzie odbywały się te sesje – nagromadziły się teczki, notatniki, notatki, kartki z kosztorysami wydatków i przewidywanymi wpływami, spisy zadań związanych z prowadzeniem domu, i tak dalej. Jednakże Ojciec zmienił plany, które miały przygotowane:

– Moje dzieci, kwestie finansowe rozwiązuje się na podstawie osobistej odpowiedzialności, a także osobistego ubóstwa... To zaś, bardziej niż tematem do rozważań tutaj, wśród nas, jest sprawą, którą każdy powinien omawiać z Panem, w samotności, w swojej modlitwie.

I rzeczywiście sesja ta „została zrealizowana” po południu, w kaplicy Los Rosales, w klimacie intensywnej ciszy¹⁸.

Osoba odpowiedzialna za finanse złapałaby się za głowę, ale... było tak, że Josemaría Escrivá uważał, iż problemy finansowe powinny być rozwiązywane jako kwestia wymagania od siebie i całkowitego zaufania do Boga. Trochę wcześniej lub trochę później, w ramach swojego własnego dialogu z Bogiem, pisał: „Znajduję się w tak trudnej sytuacji ekonomicznej, jak nigdy. Nie tracę pokoju. Mam absolutną

pewność, że Bóg Ojciec mój, rozwiąże wreszcie całą tę sprawę”19.

To samo osobiste ubóstwo, którego oczekiwał od swoich, przeżywał „wcześniej, bardziej, lepiej”. Istnieją niezliczone wiadomości na temat tak wielu szczegółów, że trudno jest wybierać... Na przykład ksiądz Escrivá miał tylko dwie sutanny – na zmianę. Jedna – zawsze czysta i wyprasowana, o kroju rzymskim, do wychodzenia na ulicę i przyjmowania wizyt. Druga – do chodzenia po domu i pilnowania prac, złożona z tak wielu części i tak połatana, że w pewnym momencie Ojciec powiedział o niej: Ma więcej *haftów* niż manilska chusta*.20

Inny przykład: sypialnia Ojca to niewielki pokój, gdzie mieszczą się tylko łóżko, stół, drewniany fotel bez tapicerki czy choćby poduszki, maleńka szafa wnękowa... Poza tym, jest to miejsce przechodnie. Również

jego pokój do pracy, wybrany bez wątpienia przez niego samego, to najmniejszy, ciemny i męczący pokój z całej Villa Tevere. Tylko przez jedno niewielkie, wąskie okno wychodzące na wewnętrzne podwórko mogło dostać się odrobinę powietrza, troszeczkę światła.

Ze strony Ojca był to nieustanny wysiłek, żeby niczego nie posiadać, żeby nie mieć nic na własność, żeby nie skarżyć się, jeśli brakuje tego, co potrzebne, i żeby obywać się bez tego, co zbędne.

Jednakże nie są to „kryteria ubóstwa”, o których pisze się po to, żeby wprawiały w zachwyt. Nie. Ksiądz Escrivá przeżywał je w swoim ciele i duchu bez przerwy, bez przerwy, „jak bicie serca”.

Pewnego ranka Ojciec poszedł na czczo z księdzem Álvaro na badanie krwi na Via Nazionale. Skończyli o wpół do dwunastej. Jako że musieli

udać się w jakieś inne miejsce, żeby załatwić pewne sprawy, a nie mieli już czasu, żeby wrócić do domu, wstąpili na śniadanie do baru przy Piazza Esedra. Na stojąco, przy barze, poprosili o *cappuccino* i słodką bułkę. Zapłacił Álvaro, który nosił przy sobie pieniądze. Kiedy zabierali się do picia kawy, uboga kobieta, uliczna żebraczka, podeszła do Ojca i poprosiła go o jałmużnę.

– Ja pieniędzy nie mam. Jedynym, czym dysponuję, dlatego że mi to dają, jest to... Proszę sobie to wziąć... I niech Bóg panią błogosławi!

I postawił przed nią swoje śniadanie, którego nawet nie spróbował.

Natychmiast Del Portillo wykonał gest przekazując swoje śniadanie Ojcu:

– Proszę, niech Ojciec weźmie, a ja poproszę dla siebie o drugie...

– Nie, nie, zostaw... Ja już zjadłem.

Ksiądz Álvaro nalegał. A Ojciec wciąż odmawiał. Wtrąciła się ekspedientka obsługująca kasę baru:

– Proszę księdza, niech ksiądz wypije swoje *cappuccino*, obsłużymy tę kobietę na nasz rachunek.

A Ojciec, uśmiechając się, ale uparcie zdecydowany w swojej odmowie, zakończył tę sytuację:

– Nie, nie... dziękuję bardzo, niech pani będzie spokojna, bo ja już zjadłem śniadanie.

Dlaczego? Dlatego że chciał być ubogi. Dlaczego? Dlatego że chciał być Chrystusem. Zaś dlatego że chciał być Chrystusem, bezbronność drugiego człowieka, jego ból, jego nędza, uderzały w jego sumienie, wyrządzały krzywdę jego duszy. Wolałby to wszystko cierpieć sam.

Nasiliły się prace przy rozbudowie rezydencji przy ulicy Bruno Buozziego. Nadal mieszkali w stróżówce, którą nazywali *Il Pensionato*. Pod wpływem swojego hasła sprzed wielu lat „Bóg i odwaga!” ksiądz Escrivá zajął się tworzeniem Rzymskiego Kolegium Świętego Krzyża. Szaleństwo, marzenie... Jednakże, aby bardziej związać się z Bogiem, nadał tej fundacji charakter formalnoprawny w postaci dekretu, który podpisał 29 czerwca, w uroczystość Świętych Apostołów Piotra i Pawła, w 1948 roku. W tekście tym ogłosił, że do Rzymskiego Kolegium przybywać będą ludzie ze wszystkich państw, aby otrzymywać intensywne przygotowanie duchowe, intelektualne i apostolskie poprzez pogłębione studia filozoficzne, pedagogiczne, teologiczne, prawnicze i humanistyczne. Miała to być szkoła formująca tych, którzy sami mieli formować, „harcówka”, gdzie ci

młodzi ludzie pochodzący z
najróżniejszych ras, kultur i krajów
mieli się wprawiać w życie
polegającym na modlitwie,
poświęceniu, służbie, pracy... Po to,
aby później, rozbiegłszy się po
świecie, nieść innym śmiałą i
atrakcyjną wieść o ideale zdolnym
napęłnić ich życie.

To wspólne przebywanie młodych
spod różnych szerokości
geograficznych rozszerzyć miało ich
horyzonty, bez prostackiego
nacionalizmu, bez rasistowskiej
selekcji, bez elitarności. Stąd mieli
wychodzić wiedząc, że są „dla
tłumów”. I tutaj mieli nabyć stylu
życia niedającego się pogodzić z
jakąkolwiek pychą: „Aby służyć,
służyć”.

Zarówno mężczyzn, jak i kobiety
Escrivá ostrzegał tysiąc i jeden razy,
że nie będzie się tam produkować
nadmężczyzn ani nadkobiet. Z

wielką plastycznością dawał im do zrozumienia, że zawsze będą „glinianymi naczyniami”... kruchymi i delikatnymi, ale zdolnymi przechować wyborny płyn mądrości.

W jednym z zakątków domu znajduje się płyta z białego marmuru, widoczna z cortile Vecchio i z galleria della Campana, która przedstawia tę ideę w oszczędnych łacińskich słowach, datowanych na 1952 rok. Słowa te kierują się do odwiedzającego, do mieszkańca, do gościa, do *hospes**, który na przestrzeni wieków zamieszka w którymś z budynków Villa Tevere: „Te budynki, które widzisz wokół, uważaj za harcówkę, skąd wyłoni się rasa silnych, która zawsze ma walczyć z radością i pokojem w całym świecie za Kościół Boży i Biskupa Rzymu”.

Żegnając się z tymi, którzy zakończyli studia w Kolegium Rzymskim i

powracali do krajów swojego pochodzenia, Josemaría Escrivá mówił to, co każdy czuł w swoim sumieniu:

– Rzym pozostawi wam w duszy piętno, głęboki i trwały ślad, jeżeli dobrze wykorzystaliście czas. I będziecie umieli być najwierniejszymi dziećmi Kościoła...

21

12 grudnia 1953 roku dla kobiet z Opus Dei zostało erygowane Rzymskie Kolegium Najświętszej Maryi Panny. Liczba studentek wciąż rosła z taką szybkością, że w 1959 roku trzeba było w szybkim tempie podjąć prace przy budowie siedziby dla nich poza Rzymem – Villa delle Rose w Castelgandolfo na terenach, które Pius XII przydzielił Dziełu tymczasowo a Jan XXIII przekazał ostatecznie.

Po ukończeniu Villa delle Rose w 1963 roku ksiądz Escrivá zajął się

wznoszeniem rezydencji uniwersyteckiej dla Rzymskiego Kolegium Świętego Krzyża, również w okolicach Rzymu, w pobliżu Via Flaminia** – w Cavabianca.

Ojciec nie miał „obsesji murów”, mimo że spędził niemal trzydzieści lat swojego życia wśród koparek, betoniarek, stosów cegieł i rusztowań. Wyjaśnienie tego jest prostsze i bardziej naturalne: założyciel Opus Dei nie mógł grodzić bezkresnych przestrzeni ani stawiać tam strumieniowi powołań, które odpowiadały na to „powszechne wezwanie do świętości”. Wezwanie, które bez wytchnienia rozchodziło się i kazało się rozchodzić głosząc nieustające apostołstwo „przyjaźni i zaufania”, od drzwi do drzwi, od człowieka do człowieka, od serca do serca.

Dlatego że nie miał „obsesji murów”, a także dlatego że wołał koniec niż

początek, zawsze odmawiał
błogosławienia kamieni węgielnych.
To samo wydarzyło się na ulicy
Bruno Buozziego. Jediną ceremonią
był znak krzyża, recytowane *Te
Deum* i radosne „*Auguri* wszystkim!
*Siamo arrivati!**” i tak został
pobłogosławiony ostatni kamień
zespołu budynków składających się
na Villa Tevere. Był 9 stycznia 1960
roku. I lał ulewny deszcz²².

Czym jest Villa Tevere? To dom
paterfamilias, ojca rodziny... Licznej,
pracowitej i ubogiej. To wielki,
szlachetny i prosty dom, bez manii
wielkości.

Pozyskano przestrzeń na górze, na
dole, z przodu i z tyłu. Budowano w
wielkim ogrodzie. Podniesiono dom i
pogłębiono piwnice. Zespół
budynków jest zgrabny i harmonijny,
ale absolutnie nie monumentalny czy
okazały. Ma wdzięk, ma szyk i ma
ślad oryginalności, między stylem

ludowym a wytwornym.
Poszanowano klasyczny styl
floreński Villa Vecchia, pierwotnego
„starego domu”. Różne poziomy
wymuszają liczne schody,
*cavalcavia*** i łączniki.

Inwencja literacka objawić się miała
przy nazywaniu każdego kącika,
każdego załomu korytarza, każdego
małego wewnętrznego
podwórza... I tak *cortili* – maleńkie
podwóreczka o funkcji wentylacyjnej
przyjmują sympatyczne miana
pochodzące od jakiegoś detalu
zdobniczego: del Fiume, della Pala,
dei Cantori, delle Tartarughe, del
Cipresso...*** Fotograf miałby bez
wątpienia wielkie problemy z
obiektywem, żeby móc zrobić jakieś
ujęcie z powodu dosłownego braku
perspektywy. Wszystko tam jest tyleż
różnorodne, co ograniczone. Można
przejsć koło tego, co nosi nazwę
Fontana della Navicella albo *delle*

*Cannelle*****, nawet nie zdając sobie sprawy z ich obecności.

Jednakże dla mieszkających w Villa Tevere każde miejsce ma swoją głęboką historię. Każdy kamień jest otwartą księgą, która sączy żywe wspomnienia dotyczące założyciela. „Tutaj Ojciec powiedział mi, że...” „Ileż razy Ojciec przed tym wizerunkiem Maryi...!” „Kiedy malowano fresk, który jest na tamtej ścianie, Ojciec pomagał...” Oto sceny z jego życia. Wszystkie one są nieodłącznie związane z właściwą poetyką Dzieła: marmurowa płyta, ślady bosych stóp, wskazujące początek drogi, Anioł Stróż, opiekun Opus Dei, elegancka tabliczka ze słowami «*Omnia in bonum*» mówiącymi temu, kto na nią patrzy, że „wszystko służy dobru”; kuty krzyż z końcami w kształcie strzałek wieńczący *il torreone...**

W sumie Villa Tevere to osiem domów. Dla kobiet: La Montagnola, Villa Sacchetti, La Casetta, Il Ridotto e Il Fabbricato Piccolo. Dla mężczyzn: la Casa del Vicolo, Uffici i la Villa Vecchia, gdzie mieszka Ojciec i członkowie Rady Generalnej.

Drzwi łączące części dla mężczyzn i dla kobiet z dwoma zamkami i dwoma zestawami kluczy stanowią nieprzekraczalną granicę oddzielającą kobiety i mężczyzn. Co prawda mieszkają pod jednym dachem, ale te drzwi... mają jakby pięćdziesiąt tysięcy kilometrów grubości.

Niekiedy, w związku z tym, że przy tak wielkiej liczbie ludzi są tylko cztery jadalnie wobec dwudziestu czterech kaplic, Escrivá mawiał: „Tak jest prawidłowo. Modlimy się więcej niż jemy!”²³ Zespół ma nazwę, którą nadał jej założyciel jeszcze przed wzniesieniem rusztowań: Villa

Tevere. Może miał na myśli alegorię ze starą rzeką Tyber, która obejmuje Rzym i pieści go z dawną a zarazem ciągle nową miłością.

Niekiedy, już po zapadnięciu zmroku, mieszkańcy zebrani na spotkaniu zaczynają śpiewać. Źle czy dobrze, ale śpiewają wszyscy. Są to ludowe piosenki, są to piosenki, które upiększa dobra miłość... Jedna z piosenek wymyka się przez okna i zanim zniknie zupełnie, płynie przez ciepłe i przyjazne powietrze rzymskiej nocy:

*Roma, che la più bella sei del mondo,
il Tevere ti serve da cintura... ***

Rzym wniknął już w ich serca. Bardziej niż melancholijna nostalgia jest to głęboki ślad w duszy. Jest to... piętno Rzymu przy pożegnaniu.

ROZDZIAŁ V

Ut gigas. *Escrivá* rozwija marzenie.
Łamacz granic. Dziwny
„mieszczanin”: zapobiegliwy,
nonkonformistyczny, śmiały i
marzycielski. Opcja na rzecz ubogich i
bogatyh. „Ci z góry sami spadają”.
Jakiego koloru jest skóra duszy?

„Weseli się jak olbrzym, co drogę
przebiega”. Josemaría Escrivá
powtarzał wielokrotnie te słowa,
wybijając łaciński rytm: *Exultavit ut
gigas ad currendam viam*¹.

Wymawiał łacińskie wyrazy w stylu
rzymskim, w związku z czym nie
mówił „gigas”, tylko „dzigas”. Ten
werset z psalterza – dziwny werset –
czasem przynagla go, żeby nie tracić
ani chwili, innym razem, aby
postępować w walce wewnętrznej,
innym razem aby wielkodusznie się
oddawać. Z całą pewnością jemu
samemu nie przychodziło do głowy,
że te sześć słów jest plastycznym
opisem jego własnego życia.

Wielcy ludzie – rodzaj bardzo odmienny od zwykłych „znakomitości” – stanowią interesującą trudność dla biografa i dla historyka. Z jednej strony są ludźmi swoich czasów, współczesnymi mentalności, zwyczajom i wydarzeniom swojej własnej epoki. Z drugiej strony wyprzedzają swoją epokę, ożywieni przenikliwym widzeniem przyszłości. Wyprzedzają swój życiowy czas wbrew modom w myśleniu, na przekór pospolitym masom, pod prąd bierności swojego pokolenia. Idą naprzód pod wiatr. Burzą granice. Niszczą stereotypy. Wyrzucają na śmietnik stęchłe przesady z *papier-mâché*. Otwierają nowe drogi... Ten pospieszny marsz w tempie spieszącego się zegara i ze spojrzeniem utkwionym gdzieś w przyszłości sprawia, że nie są współcześni innym ludziom swojej własnej epoki.

Kiedy pojawiają się problemy,
proponują śmiało, pełne wyobraźni,
nietypowe rozwiązania. Umieją
dostrzegać coś w tym, co
niewidzialne. Dlatego ośmielają się
porwać na to, co niemożliwe.

Wyprzedzając swój czas są
prorokami, zaś jako niedostosowani
do swoich czasów są buntownikami.
Przez to wszystko, kiedy wykraczają
poza swój czas, zwykle są źle
rozumiani. W samotności niosą
ciężar przywództwa. Ich naśladowcy
pozostają daleko w tyle za nimi.

Opinia publiczna albo nie zwraca na
nich uwagi, albo ich nie rozumie. Ci,
którzy żyją w wygodnej szarości tego,
co pospolite i zwyczajne, czują się
poruszeni, zaniepokojeni tymi
uderzeniami niepokoju... Ostatecznie
jeśli nasi bohaterowie stają się
powszechnie znani, odmawia się im
uznania ich wielkości. A jeżeli w
życiu cieszą się jakąś sławą, jest to
zła sława albo owa kieszonkowa
sława, która nosi nazwę *sensacji*.

Znakomite osobistości, sławy
każdego okresu, mogą prowadzić
wygodne i rozkoszne życie. Wielcy
ludzie – nie. Wielki człowiek nigdy
nie spoczywa na laurach, nigdy się
nie urządza, nigdy nie rezygnuje,
nigdy nie oddaje się
samozadowoleniu z wykonanego
zadania. Jego stała postawa polega
na tym, aby weselić się jak olbrzym,
co drogę przebiega... jak gdyby był
olbrzymem. *Ut gigas.*

Ut gigas... Pewnego sierpniowego
dnia 1941 roku Josemaría Escrivá
prowadził rozważanie w półcieniu
kaplicy przy ulicy Diego de León 14
w Madrycie. Mówił o wierze, o
śmiałości, o tym, aby odważyć się
prosić o gwiazdkę z nieba z
niewzruszoną ufnością, że Bóg może
ją dać...

– Strach? Strach przed nikim! Nawet
przed Bogiem!... Dlatego że jest moim
Ojcem.

Zwrócił się ku tabernakulum i patrząc na to miejsce z naturalnością kogoś, kto naprawdę rozmawia z kimś, kto znajduje się tam, w tym samym pomieszczeniu, dodał:

– Panie, nie boimy się Ciebie...,
dlatego że Cię miłujemy².

Ut gigas... Pewnego listopadowego popołudnia 1942 roku, również w Madrycie, Josemaría Escrivá przybył do domku pod numerem 19 przy ulicy Jorge Manrique. Był to ośrodek kobiet z Dzieła. W tamtych czasach całe żeńskie Opus Dei nie liczyło nawet dziesięciu młodych dziewcząt: Lola Fisac, Encarnita Ortega, Nisa González Guzmán, Amparo Rodríguez Casado, Enriqueta Botella Raduán, Laura i Conchita Fernández del Amo, María Jesús Hereza, Aurora Oliden...

Escrivá spotkał się w niewielkiej bibliotece z trzema dziewczętami, które o tej porze były w domu:

Encarnitą, Nisą i Lolą F. Ojciec rozprostował papier i rozłożył go na stole. Był to jakby rysunek, graficzny schemat, na którym przedstawiono różne zadania apostołstwa, które kobiety z Dzieła miały realizować na całym świecie czy to w ramach osobistej inicjatywy, czy jako wspólne zadanie. Objasniając z wielką żywością treść schematu, pokazywał palcem wskazującym każdy z napisów na rysunku: gospodarstwa połączone ze szkołami dla wieśniaczek, akademiki dla studentek, szpitale położnicze, ośrodki zawodowego szkolenia dla kobiet w różnych dziedzinach: hotelarstwo, sekretarki, pielęgniarki, nauczycielki, języki obce...; działalność w dziedzinie mody, obwoźne biblioteki, księgarnie... Mówił im również przedtem i potem, że najważniejszą rzeczą musi być apostołstwo przyjaźni, które każda z nich będzie prowadzić wobec swoich rodzin, sąsiadek, znajomych,

koleżanek... „Tego zaś nigdy nie będzie można zapisać ani zmierzyć”.

Jak entuzjastyczny *ritornello** Ojciec powtarzał od czasu do czasu:

– Marzcie a i tak wam nie starczy wyobraźni!

We trzy patrzyły na niego osłupiałe, doznając czegoś pośredniego między zdumieniem a zawrotami głowy. Nie przychodziło im do głowy, że to one same będą musiały to wszystko zrobić i do tego, jak to się mówi, zaraz! Wydawało im się, że tam, na stole, Ojciec rozwinął marzenie. Piękne marzenie na daleką przyszłość. Czuły się niedoświadczone, bez środków, bez zasobów... niezdolne.

Escrivá pochwycił w tych spojrzeniach nadzieję i bezsilność, pragnienie i strach, lękliwe „chciałybyśmy móc to zrobić...”

Bardzo powoli wziął papier i zaczął go składać. Jego oblicze uległo zmianie. Teraz było bardzo poważne. Zniechęcone? Rozczarowane? Smutne? Jakby nagle tak dzielnemu człowiekowi zawalił się świat.

Zapewne przez umysł i serce Josemaríi niczym dzikie ptaszysko przeleciała burząca myśl, że mija ponad dwanaście lat jego walki, wbrew własnej woli, o to, aby oddać ciało i życie kobiecemu Opus Dei, takim, jakie Bóg chciał, żeby *ujrzał* 14 lutego 1930 roku. Najpierw przybyły kobiety, które dużo się modliły, ale „nie ruszały palcem”. Nie był to rodzaj kobiet, które muszą się trudzić, żeby umieścić Chrystusa na szczycie wszelkiej ludzkiej działalności. Były bardzo dobre, ale miały mistyczne zacięcie. Escrivá musiał im powiedzieć, że się nie nadają. Później zjawily się inne, które paplały i krzętały się, ale nie modliły. Odeszły. Te aktualne to

„trzeci wypiek”... I czy to możliwe, że stając oko w oko z prawdą zostaną tam, sparaliżowane ze strachu?

Bez wyzwania postanowił ukazać im ich odpowiedzialność. Powiedział, dobierając bardzo starannie słowa:

– W tej sytuacji możecie zareagować dwojako. Raz – możecie pomyśleć, że to coś bardzo pięknego, ale urojonego, nierealnego. A dwa – ufając, że skoro Pan poprosił nas o to wszystko, pomoże nam to uczynić...

Zamilkł. Patrzył na nie, zatrzymując się na każdej z nich, jakby to spojrzenie mogło w nie przelać jego własną wiarę, pogrążyć je w jego własnej pewności. Później, zanim odwrócił się w kierunku drzwi, dodał:

– Mam nadzieję, że zareagujecie w ten drugi sposób³.

I tak zareagowały. To nie była utopia. Z pewnością drogi nie były otwarte. To one wydeptały je swoimi krokami. Po upływie wielu lat – powiedzmy czterdziestu, żeby wziąć liczbę, która w życiu człowieka zwykle jest symbolem dojrzałości – w 1984 roku kobiety z Opus Dei rozrzucone na obu półkulach uruchomiły i prowadziły ponad 40 akademików, ponad 200 ośrodków kultury, 16 szkół dla sekretarek i języków obcych, 79 szkół powstałych z inicjatywy rodziców uczniów i 12 kolejnych w charakterze dzieł korporacyjnych, 94 ośrodki formacji zawodowej, 13 szkół rolniczych dla wieśniaczek⁴. Oraz nieskończenie wiele przychodni, ośrodków higieny, programów alfabetyzacji, kampanii animacji kulturalnej i formacji społecznej, centrów podziału żywności w strefach wiejskich, kursów wieczorowych edukacji podstawowej i średniej w dzielnicach fabrycznych, i tak dalej.

Ut gigas... Po upływie czterdziestu lat one trzy zostały przemnożone przez ponad dziesięć tysięcy każda. „Bóg + 2 + 2” to nigdy nie jest zwykła suma. Zawsze jest to cudowne pomnożenie do n-tej potęgi. Powiększając swoją liczbę równolegle do mężczyzn z Opus Dei, kobiety pracowały w stabilny sposób w miastach i wsiach ponad sześćdziesięciu krajów na pięciu kontynentach. A zaczęły się osiedlać w Szwecji, w Norwegii, w Finlandii, na Tajwanie, w Hong Kongu, w Korei, w Makao, na Wybrzeżu Kości Słoniowej, w Zairze, w Kamerunie, na Santo Domingo, w Nowej Zelandii, w Polsce, na Węgrzech, w Czechosłowacji...

Ut gigas... Jak olbrzym o potężnych mięśniach wiary. Kardynał Tedeschini miał go nazwać: „mistrz wiary”⁵. Nauczający i przynoszący plony. Owszem, snujący marzenia, ale równocześnie zakasujący rękawy w trudzie kładzenia jednej cegły na

drugiej, jednego papieru na drugim,
jednej godziny nauki i pracy obok
drugiej godziny modlitwy i
umartwienia, tej podróży i owej
wizyty i jeszcze tamtej sprawy...
Nigdy nie mówił: dosyć. Nigdy nie
upadając na duchu. Na trudnościach
wybijał swój wymagający refren:
„więcej, więcej, więcej...”, „nie
poprzestawajcie na tym, co łatwe!”
Nonkonformista, dlatego że „widzisz:
prawie wszystko zgasło... nie
spróbujesz rozniecić pożaru?”
Ambitny, dlatego że „nasze
apostolstwo to bezbrzeżne morze”.
Zawsze w ruchu, dlatego że „jest tak
wiele zniszczeń, tak wiele pozostaje
do zrobienia!” Rozpalony ideałem,
który się nie wyczerpuje: *regnare
Christum volumus!* – chcemy, aby
Chrystus królował.

Opowiadano mu o Uniwersytecie
Nawarry i kiedy usłyszał pewien ton
zadowolenia z tego osiągnięcia,
spozstrzegł natychmiast, że nie, że nie

wolno spoczywać na laurach, że „to tylko początek: z czasem, i to wkrótce, będzie dziesięć albo dwadzieścia podobnych uniwersytetów”6.

I tak miało być: w ślad za Uniwersytetem Nawarry w Hiszpanii poszedł Uniwersytet w Piurze (Peru), Uniwersytet Panamerykański w Meksyku, Uniwersytet La Sabana w Kolumbii, Uniwersytet Południowy w Argentynie, Uniwersytet Andyjski w Chile, CRC w Manili na Filipinach. A na etapie zaawansowanego projektu są Strathmore University w Nairobi (Kenia) oraz Libero Instituto Universitario Campus Biomedico w Rzymie, we Włoszech.

Ut gigas... 17 listopada 1969 roku na spotkaniu ze studentami⁷ ktoś wymienił akademik La Moncloa. Ksiądz Escrivá przypomniał, że ten akademik kosztował go wiele modlitwy. I opowiedział im

następującą historię: właściciel mieszkań, które zajmowali w charakterze akademika przy ulicy Jenner w Madrycie dał im określony czas na wyprowadzenie się. W dniu, kiedy mijał termin, ksiądz Escrivá wyszedł bardzo wcześnie i udał się do domu tego pana. Obudził go. Przyniósł mu czek na pięć tysięcy peset, co wówczas, w 1943 roku, było sporą sumą. Wręczył mu czek jako gwarancję dla uzyskania wydłużenia terminu, aż będą mieli gdzie się przenieść w odpowiednie warunki.

Jak wiele innych razy, tak i tym razem trzeba było zaczynać od początku. Gorliwie szukał. I modlił się z całej duszy. W tym okresie czasu pojawiła się pewna osoba – Messeguer, przemysłowiec z Murcji, który ofiarował swoją wielkoduszną pomoc w przekształceniu dwóch willi, dosyć zniszczonych bombardowaniami podczas wojny domowej, w akademik zdolny

pomieścić stu studentów i trzeciego hoteliku, przeznaczonego dla administracji. Prace zostały wykonane w rekordowym tempie.

Ojciec zakończył swoje wspomnienia mówiąc:

– Wszystko zostało zrealizowane bez cudownych sztuczek, ale oczywiście, dzięki wielu modlitwom.

Wówczas José Gil, kapłan z Dzieła, który znajdował się na spotkaniu, zabrał głos mając zamiar wyrazić Ojcu swoją radość:

– A zatem obecnie w La Moncloa rzeczywiście jesteśmy świadkami cudu. Spośród stu czterech mieszkańców codziennie na mszę schodzi dziewięćdziesięciu...
Dziewięćdziesięciu, Ojcze!

– Posłuchaj, ale... oprócz tego przyprowadzają swoich przyjaciół z innych akademików?

– Hmm... No cóż... zajmujemy się tym, Ojciec...

– Zajmujemy się tym, synu... Od 1928 roku! A zatem jeżeli jeszcze każdy z nich nie przyprowadza ze sobą czterech czy pięciu przyjaciół... jak na razie możemy mówić tylko o „półcudzie”8.

To właśnie nonkonformizm wielkiego, żarzącego się ducha, który chce rozpaść wszystko, czego się dotknie. Kiedy więc pewnego dnia w Rzymie pokazano mu świeżo wydaną książkę jednego z jego synów – prawnika i teologa José Luisa Illanesa na temat „uświęcenia pracy” przekartkował ją tylko, nie zostawiając ani chwili na zadowolenie, powiedział tym, którzy znajdowali się na tamtym *soggiorno**:

– Można by, należałoby napisać inne, podobne książki na temat ducha służby, na temat lojalności, na temat

przyjaźni, na temat ludzkich cnót...
Przyniosłyby wiele dobra licznym
duszom9.

Ut gigas... Opracowywano plany
wybudowania sanktuarium w
Torreciudad. Ksiądz Escrivá
wiedział, że w ludzkich oczach jest
potężnym szaleństwem pakowanie
się w budowę nowej świątyni o
ogromnych rozmiarach w odnodze
Pirenejów. Było to wyzwanie rzucone
agnostyckim, materialistycznym
czasom, czasom interesów bez duszy,
gdzie obsesja pragmatyzmu domaga
się opłacalnego utylitaryzmu od
każdego metra sześciennego betonu.
Niemniej jednak, on widział oczami
wiary – wiara polega na tym, że
wierzy się w to, czego nie widzimy,
ale również na widzeniu tego, czego
inni nie widzą – że będą się tam
zbierać tłumy pielgrzymów:

– Dawajcie konfesjonały, dużo
konfesjonałów, dlatego że będzie tu

przyjeżdżać wiele osób z całego świata, żeby się *odgrzeszyć*!

Architektom zaś dał hojną radę:

– Nie bójcie się rozmiarów!10

Ut gigas... Zaś jako człowiek przewidujący przewidział konieczność rozpoczęcia osobistej i duchowej formacji młodego pokolenia przed okresem dojrzewania – jeszcze w dzieciństwie. Zachęcał do uruchamiania szkół, a także klubów licealistów: „Nie dlatego że w tych latach łatwiej wam będzie ich poskromić, tylko dlatego że już w młodym wieku przyjmą jako swoje chrześcijańskie zasady, przy których pomocy będą mogli później się bronić i dobrze postępować w życiu”11.

Z tą samą wybiegającą do przodu wizją nalegał na zawodową, doktrynalną i moralną opiekę nad

kobietą we wszystkich środowiskach: na uniwersytecie, w domu, w polu, w fabrykach... dlatego że „antychrześcijańscy bojownicy” – gatunek, który istnieje, i jest bardzo aktywny – działają z uporem dla osiągnięcia czegoś zupełnie przeciwnego: „A kiedy zepsute są kobiety, zepsuta jest rodzina i społeczeństwo”¹².

Ut gigas... W styczniu 1968 roku przyjął w Villa Tevere dziennikarkę Pilar Salcedo. Złożył jej kilka istotnych oświadczeń, które zostały opublikowane w hiszpańskim czasopiśmie *Telva*¹³. Ksiądz Escrivá mówił o ludzkiej miłości, o małżeństwie, o rodzinie, o kobiecie w ognisku domowym i poza nim, o niezamykaniu źródeł życia... Po przeczytaniu tych obszernych i pełnych wigoru odpowiedzi z perspektywy czasu, rzuca się w oczy, że Josemaría Escrivá odważnie uprzedził, a nawet odparował

działania modnych ruchów feministycznych, próbując zatrzymać cios, odepchnąć falę niepopularności, jaką encyklika *Humanae vitae* – do której publikacji doszło wkrótce potem – miała się później rozpętać nad Pawłem VI. Był to sposób służenia Kościołowi poprzez wygładzanie przed Papieżem wyboistej i trudnej drogi, wysypanej tłuczonym szkłem... I ksiądz Escrivá robił to, wkraczając na tę drogę jako pierwszy a nawet ryzykując, że się zrani.

Jednakże wyprzedził również o ponad dwadzieścia lat refleksje, które na temat kondycji kobiety i jej roli społecznej Jan Paweł II przedstawił w liście apostolskim *Mulieris dignitatem*. Wspomniany wywiad ten znajduje się w bibliotekach. Zdumiewa wyprzedzenie, z jakim Escrivá podkreślał wybitną godność kobiety i jej podwójne historyczne powołanie:

dawanie życia ludzkości i dawanie
człowieczeństwa życiu.

W świecie wiedzy technicznej, coraz
bardziej zamkniętej i
wyspecjalizowanej, gdzie *homo faber*
ostatecznie „wie wszystko... o
niczym”, natomiast wybitny ekspert
od chipów komputerowych, od giełdy
albo od gronkowców jest poza tym
zupełnym ignorantem, Escrivá
odkrył w niezwykle właściwym
czasie konieczność zachęcania do
studiów humanistycznych. I to nie
tylko po to, żeby strzec faustowskiego
impulsu głoszącego, że *człowiek
powinien stanowić całość*, tylko żeby
uniknąć tych redukcjonistycznych
postaw, które rozbijają osobę
ludzką i pozbawiają ją słusznego
prawa do dziedzictwa historii, sztuki,
filozofii, literatury...

Kiedy w latach sześćdziesiątych
Europa i Ameryka Północna były
miejszem potężnej fali wyzwalań z

wszelkich tabu albo gigantycznych „okopów” pacyfizmu, usypianego dźwiękami muzyki *soul* i wciąganiem LSD, albo wielką świątynią kultu nastolatków w ich atrakcyjnej i ulotnej chwilowości, kiedy zużyto wszystkie spreje na świecie malując na murach pełen buntu okrzyk „Wyobraźnia do władzy” a intelektualiści dostawali zawrotów głowy na szeszlunku, kiedy furorę robiły środki odurzające, McLuhan, Althusser i Marcuse, bez hałasu, ale stawiając czoła tym czasom, Escrivá de Balaguer, *ut gigas*, dobrze obdarzony, aby „widzieć w tym, co niewidzialne”, podnosił głos ostrzegając przed najgorszym wrogiem człowieka, jego największym zaniedbaniem i jego najbardziej niesprawiedliwym ubóstwem: przed niewiedzą.

Liczni świadkowie rozmów i spotkań z nim w owych latach dobrze zapamiętali zapał i naleganie, z

jakimi ksiądz Escrivá zachęcał do „wytoczenia wielkiej bitwy nędzy, niewiedzy, chorobom, cierpieniu, najsmutniejszej z nędz – samotności”¹⁴, zachęcając do zmobilizowania wielkodusznych impulsów młodzieży „w tym wielkim dziele miłości i sprawiedliwości, polegającym na trosce o to, aby nie było ubogich, aby nie było analfabetów, aby nie było ignorantów”¹⁵.

Uważał, że niewiedza jest wielką przeszkodą wolności – łańcuchem, który czyni człowieka niewolnikiem zabraniając mu dostępu do prawdy. Nie miał wątpliwości, określając jako „najgorszą zbrodnię”¹⁶ działalność pewnych możnych, którzy utrzymywali swoich poddanych w stanie bezbronności wynikającej z braku kultury, dezinformacji, ubóstwa. Idąc zaś dalej tym tokiem rozumowania mówił: „Największym wrogiem duszy, Kościoła i Boga jest

niewiedza... która nie jest
dziedzictwem jednej klasy
społecznej: można ją spotkać
wszędzie”17.

Wniosek był bardzo praktyczny –
określał następujący charakter,
budował następującą postawę:
„Kościół Jezusa Chrystusa wcale nie
boi się prawdy naukowej. A my,
dzieci Boże, w Opus Dei mamy
obowiązek uczestniczyć we
wszystkich dziedzinach ludzkiej
nauki. Jak wiele dobra
wyświadczymy duszom, opierając się
na zdrowej doktrynie! Ileż niewiedzy
rozproszymy!”18 „Osoby, które
wydają się być daleko od Boga, są od
Niego daleko tylko pozornie. To
szlachetni i dobrzy ludzie..., ale
pozbawieni wiedzy. Nawet ich
grzechy są jak bluźnierstwa w ustach
dziecka – nie zdają sobie z nich
sprawy. Ludzie nie są źli. Ludzie są
dobrzy. Ja nie znam złych ludzi.
Natomiast, owszem, znam ludzi,

którym brakuje wiedzy. Dlatego nie przestaję mówić, że Opus Dei nie jest przeciwko niczemu. Musimy bardzo kochać wszystkich – zło można utopić jedynie w obfitości dobra”19.

Ut gigas... Na prawo i na lewo od tych zupełnie samych, uciskanych, słabych, błędzących, bezbronnych nie wyłączając nikogo ze swojego uścisku: „Jeżeli zaś mnie zapytacie, czy kocham komunistów, powiem wam, że kocham również komunistów! Komunizm nie – to herezja... Pełna herezji, to brutalny materializm, który prowadzi do tyranii, ale tak, kocham komunistów, dlatego że są bardzo biedni”20.

Podczas jednego ze spotkań mówił o pewnej postaci pochodzenia żydowskiego, znanym masonie z Ameryki Środkowej, który przybył spotkać się z nim w Rzymie:

„– Zapytałem go: dlaczego odczuwasz taką sympatię dla Dzieła?

Odpowiedział mi:

Dlatego że w Dziele znalazłem wiele zrozumienia i wszystkie drzwi otwarte.

Wtedy powiedziałem mu:

– Przyjacielu, w mojej ojczyźnie wszyscy masoni, których znałem, są fanatykami. Ty zaś nie jesteś fanatykiem, dlatego nam pomagasz, chociaż nawet nie jesteś katolikiem ani chrześcijaninem.

Później obiecałem mu, że będę się za niego dużo modlił. I wytłumaczyłem mu, dlaczego tak bardzo kocham Żydów:

– Moja największa miłość to Żyd – Jezus Chrystus. A druga – Żydówka – Jego Najświętsza Matka Maryja.

Dałem mu medal Najświętszej Maryi Panny... Był bardzo zadowolony, szczęśliwy!”21

Mimo wszystko był mocno przekonany, że wiara katolicka jest tą prawdziwą. Bezgraniczna wyrozumiałość dla każdego człowieka nie prowadziła go do łagodzenia nauczania ani do obniżania ciężaru brylantów prawdy przez eklektyczny irenizm i niejasny fałszywy ekumenizm. Prywatnie i publicznie, wobec muzułmanina, protestantki, żyda, buddysty, wobec każdego mówił z całkowitą serdecznością i całkowitą szczerością: „Ty nie masz pełnej prawdy. Będę się za ciebie modlić, żebyś któregoś dnia mógł uzyskać dar prawdziwej wiary. Jednakże zapewniam cię, że owszem, masz mój całkowity szacunek – szanuję ciebie i szanuję twoją wolność”22.

U Josemaríi Escrivy to poszanowanie wolności rodzi się z całościowego szacunku dla człowieka w związku z jego wielką godnością dziecka Bożego i jest przez ten szacunek

podtrzymywane. Przy pewnej okazji – podczas podróży do Hiszpanii, w październiku 1968 roku – czytając poranną prasę, odczuł niesmak i głęboko się zasmucił widząc, że w pewnej gazecie, w której redakcji pracowało kilku jego synów przypuszczono w stosunku do pewnej osoby atak *ad hominem**. Wkrótce potem, zanim minął ten dzień, skomentował ten fakt w następujący sposób:

– Nie mogę bronić tutaj wolności moich dzieci, jeśli moje dzieci nie bronią najpierw wolności innych. Można mówić prawdę, obnażać sprawy, które idą źle, sprzeciwiać się na poziomie, z klasą, nie zniżając się jednak do takich niskich ciosów, poniżej pasa... Nie możemy mieć dwóch rodzajów moralności – jednej dla nas a drugiej dla innych. Nie, moje dzieci. Mamy tylko jedną moralność: Chrystusową²³.

Ta zagorzała obrona wolności przekładała się na ducha otwartości. Ksiądz Escrivá wpajał swoim córkom i synom, że prace i ośrodki Dzieła mają być otwarte na oścież dla wszelkiej klasy ludzi, bez żadnego wyjątku, bez nadmiernie skrupulatnej selekcji w odniesieniu do wiary, rasy, klasy społecznej, ideologii... Owszem, należy dostosować każdą działalność do grupy społecznej i poziomu kulturalnego osób, do których jest kierowana, nie tworząc sztucznej mieszaniny, „dlatego że Opus Dei nie rusza nikogo z jego miejsca”.

Przy takiej otwartej postawie zasmucało go sekciarskie zachowanie komunistycznego radnego z mediolańskiego ratusza, który sprzeciwiał się przyznaniu pewnych terenów na budowę akademika dla studentów kierowanego przez członków Opus

Dei. Wobec tak upartej odmowy inny radny, socjalista, zapytał:

– Skąd taki sprzeciw? Wiem, że akademiki Opus Dei są otwarte dla wszystkich.

Komunistyczny radny odpowiedział bez ogródek:

– Właśnie dlatego się sprzeciwiamy. Otwierają drzwi a wciskają się katolicy²⁴.

Diametralny kontrast. Wyprzedzając czasy i zmiany społeczno-polityczne, które nastąpiły w wyniku uzyskania niepodległości przez Kenię (*harambee*), czego wówczas nawet się nie domyślano, założyciel Opus Dei zdecydowanie podtrzymywał swoją decyzję, żeby dwa korporacyjne ośrodki dydaktyczne, które miały być prowadzone w Nairobi przez kobiety i mężczyzn z Dzieła, były międzyrasowe. Spotkało się to nie tylko ze sprzeciwem brytyjskich

białych mieszkańców, ale również z nieufnością autochtonicznej ludności kolorowej i kolonii indyjskiej, bardzo trudno poddającej się integracji.

Ostatecznie Kianda College i Strathmore College zostały wybudowane na neutralnym terenie, znajdującym się w równej odległości od różnych osiedli, co umożliwiło naukę różnych ras, różnych grup wyznaniowych i społecznych.

To samo wydarzyło się w tak wielu innych krajach, gdzie integracja ze względów etnicznych, kulturowych czy ekonomicznych na pierwszy rzut oka wydawała się niemożliwa. Z jakimż entuzjazmem zachęcał swoje dzieci, żeby założyły klub formacji dla młodzieży tam, gdzie wielkie miasto Chicago zmienia oblicze i nazwę i zamienia się w West Side. Klub Midtown Center wychodzi na spotkanie tych nastolatków, których środowiskiem jest plugawa „obyczajowość” oparta na

narkotykach, seksie, próżniactwie,
zbrodni, przemocy, śmieciach,
biedzie... Tam pracuje się u podstaw,
aby uratować tę młodzież od wejścia
w diabelską spiralę „nic już się nie da
zrobić”²⁵. W tym samym celu – walki
od wewnątrz z haniebnymi skutkami
marginalizacji – w samym sercu
Bronxu, w tym, co nosi nazwę
„brudnego zadka Nowego Jorku”,
grupa kobiet z Dzieła stara się, aby
dać dziewczętom z tej dzielnicy
mętów społecznych, życia
pozbawionego korzeni i plugawego
języka, coś, co powinna dać im
szkoła, a czego nie daje im rodzina.

Josemaríi Escrivie, który tyle razy
powtarzał swoim dzieciom, że
„miłosierdzie nie polega na daniu
miedziaka i starej odzieży... trzeba
dać miłość, trzeba dać serce!”,
pewnego styczniowego dnia 1969
roku, w Rzymie, błyszczały oczy,
kiedy opowiedziano mu o pracy
polegającej na ludzkiej rehabilitacji i

integracji społecznej, jaka stopniowo dokonywała się pośród kolorowej ludności w dzielnicy Harlem.

– My, wszyscy ludzie, zostaliśmy uczynieni z tej samej gliny. Wszyscy mówimy tym samym językiem. Wszyscy jesteśmy tego samego koloru... jako dzieci tego samego Ojca. Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga! Jesteśmy tacy sami!... Bardzo się cieszę z tego trudu. Traktujcie ich jak równych sobie, patrząc im w oczy, z tego samego poziomu, nie z góry... Czy mają mniej kultury? A zatem damy im kulturę! Najbystrzejsi mogą ukończyć studia. Mniej bystrym damy wykształcenie niezbędne do prowadzenia godnego życia...

I patrząc na wenezuelską dziewczynę, Mulatkę, która znajdowała się blisko niego w tej chwili rodzinnego życia, powiedział do niej z pełną miłości delikatnością:

– Ty, córko, módl się, żeby do Dzieła przychodzili ludzie wszystkich ras... Wielu!... Ciemniejsi niż ty! Módl się, módl się... Żle ich traktowano. Mają prawo do tego, żeby traktowano ich cudownie! A najlepszy sposób to traktować ich jak równych sobie. Jesteśmy tacy sami! Nie możemy czynić nawet najmniejszej różnicy!26

Tę samą ideę, dobrze okrzepłą w jego duszy, wyłożył odmiennymi słowami w maju 1970 roku, podczas swojej katechezy w Meksyku, wobec grupy Amerykanów z USA. Bez kluczenia przeszedł prosto do sedna sprawy:

– Muszę wam powiedzieć pewną trudną rzecz. Rozumiem, jak wielki problem macie w waszym kraju z Murzynami. Jeśli poszukamy przyczyny tego problemu, stwierdzimy, że winne były i są obie strony. W wyniku tego istnieje wielka uraza w stosunku do białych. Musicie być gotowi do pracy przez dwa, trzy

lata, nie oczekując niczego w zamian. Jeśli będziecie wytrwali, możecie zdobyć ich zaufanie: miłością, sympatią (...). W Meksyku, mniej więcej dwieście lat temu, było więcej Murzynów niż w Stanach Zjednoczonych. Nie wywoływało to żadnych problemów. Jeśli takie były, umiano je pokonać na przestrzeni dwóch wieków dzięki Bożej i ludzkiej miłości, bez strachu przed pomieszaniem ras. Musimy przekonać się o tej rzeczywistości. Nie ustanę w powtarzaniu: nie ma wielu ras – kaukaskiej, czarnej, żółtej, brązowej... Jest tylko jedna rasa: rasa dzieci Bożych!27

Również w Meksyku, na innym z gromadzących tłumy spotkań, tym razem w starym gospodarstwie w Montefalco, gdzie Opus Dei prowadzi od początku lat pięćdziesiątych wielką pracę społeczną, kulturalną i apostolską z indiańskimi chłopami, Ojciec, patrząc na te poważne,

nieulękle i niezgłębione twarze o miedzianej karnacji, o zaznaczonych kościach policzkowych i skośnych czarnych oczach niczym u szakali, mówił im energicznie coś, czego nigdy wcześniej nie słyszeli:

– Nikt nie jest czymś więcej niż inny. Nikt! Wszyscy jesteśmy równi! Każdy z nas ma taką samą wartość – wartość Krwi Chrystusa²⁸.

A potem, rozmawiając ze swoimi córkami, które kierują Montefalco, próbował zarazić je swoim zapalem:

– Należy prowadzić więcej prac z robotnicami i chłopkami. Musimy im pomagać w nabieraniu kultury niezbędnej, żeby mogli osiągać ze swej pracy więcej materialnych korzyści i utrzymywać rodzinę z większym dostatkiem i godnością. W tym celu nie trzeba pogrążać tych, którzy są na szczycie... ale to nie jest sprawiedliwe, żeby były rodziny, które zawsze są pod wozem!²⁹

To jasny horyzont jego koncepcji sprawiedliwości społecznej. Zawsze tak pisał i głosił: rozwiązaniem nie jest brak bogatych, tylko brak biednych.

W 1966 roku, 11 listopada, przyjął w Villa Tevere rodzinę Vallet z bogatej burżuazji z Barcelony. Była to liczna grupa. Znajdował się w niej chłopiec, ubrany w elegancki mundurek ucznia szkoły Viaró. Ojciec wziął chłopca na bok i kazał mu się zastanowić nad faktem, nad którym być może do tej pory przechodził do porządku dziennego. Jego rodzice płacili pewną sumę pieniędzy szkole Viaró, żeby na zajęcia mogło chodzić również inne dziecko, chłopiec z ubogiej rodziny. Na tym polega dzielenie się. Na tym polega przeżywanie sprawiedliwości społecznej i ludzkiej solidarności.

Następnie, wracając do starszych, powtórzył tę samą ideę:

– Należy sprawić, żeby ubodzy zniknęli wynosząc ich, nie zaś pogrążając najwyższe klasy³⁰.

Przy niezliczonych okazjach ksiądz Escrivá przedstawiał chrześcijańską ocenę takiej sprawiedliwości społecznej, która „nie jest tym, co głoszą marksści, nie jest walką klasową: to jest wielka niesprawiedliwość [...], sprawiedliwość społeczna nie dokonuje się przemocą ani strzałami, ani przez tworzenie frakcji”³¹. Mówił także: „Ci z dołu muszą powstać. Ci z góry, jeśli są nic niewarci, upadną sami”³².

To zupełnie odwrotnie niż w przypadku rewanżystowskiego „nowego nędzarstwa” albo egalitaryzmu, który wdeptuje wszystkich w ziemię, równając w dół, pogrążając nielicznych a nie podnosząc nikogo: „Chcemy – powiedział Josemaría Escrivá

pewnego dnia w maju 1967 roku do kilku swoich synów – żeby było coraz mniej ubogich, mniej ludzi bez wykształcenia, mniej cierpiących z powodu chorób, inwalidztwa czy starości. I ku temu dążymy...

Jednakże nie osiąga się tego nastawiając jednych przeciwko drugim. Poza tym – podkreślał – ci z góry sami padają. Trzeba tylko promować tych z dołu. My jesteśmy nieprzyjaciółmi przemocy”33.

Podczas spaceru pokazywano mu niektóre dzieła w Molinoviejo. Z daleka zobaczył Juana Cabrere, majstra. Czekał na niego z otwartymi ramionami i przywitał go wylewnie, mocnym uściskiem. Później, podczas przechadzki, rozmawiał ze wszystkimi robotnikami, których napotykał:

– To jest sprawiedliwe, prawda?
Muszą wam dobrze płacić za waszą

pracę. A jeśli tak nie jest, powiedzcie o tym.

Jeden z cieśli uspokoił go:

– Ojczy, proszę się nie przejmować. Tutaj bardzo dobrze nam płacą.

– Posłuchaj, synu, chciałbym, żeby wszystkie wasze dzieci mogły się uczyć. I nie mówię tego na próżno: poświęcam sporą część moich starań, żeby to osiągnąć³⁴.

Jesienią 1968 roku musiał pojechać do Hiszpanii. Dla zyskania na czasie, zgodził się na sugestię, żeby popłynąć statkiem zamiast jechać lądem, jak zwykle. Pojechał samochodem z Rzymu do Neapolu zamierzając wsiąść na *Michelangelo* płynący w kierunku Algeciras. Jednakże strajk załogi zmusił go do pozostania w Neapolu jeden, dzień, drugi, kolejny... aż zamieniło się to w tydzień. Nie niecierpliwił się. Po dotarciu do celu opowiadał incydenty związane z

podróżą i niepewnością oczekiwania. Słuchali go jego synowie Javier Cotelo, Pedro Zarandona i César Ortiz-Echagüe. Ojciec tłumaczył:

– Wydawało mi się absurdem przy takiej ilości pracy pozostawanie przez tydzień w Neapolu i tracenie czasu... Jednak mam już doświadczenie, że wiele razy w życiu przydarzały mi się rzeczy, których wówczas nie rozumiałem, po latach zaś Pan sprawił, że ujrzałem ich sens. Jeśli Bóg zechce, zrozumieć kiedyś przypadek z Neapolu. A jeśli nie... wytłumaczą mi go w niebie, jeśli wszyscy razem pomożecie mi się tam dostać!

Nikt nie mówił o nieszczęsnym strajku a tym mniej o motywach. To ksiądz Escrivá poruszył ten temat:

– Z danych, które posiadam, po rozmowach z jednymi i z drugimi, wydaje mi się, że ci ludzie mieli powód do protestu: armator, żeby

zaoszczędzić kosztów świadczył usługi z minimalną obsadą. W ten sposób wielu marynarzy i stewardów, w większości młodych, spędzało tylko jeden miesiąc w roku z rodziną... A to nie jest ani sprawiedliwe, ani ludzkie!35

Później mieli się dowiedzieć, że Ojciec, ze względu na frywolną atmosferę na pokładzie *Michelangelo*, bardzo rzadko opuszczał swoją kabinę podczas rejsu. A jednak dostrzegł pracowniczy i społeczny problem tych ludzi. A poza tym jak zwykle stanął po stronie słabszego, gorzej traktowanego, bardziej bezbronniego.

Aby przyjąć taką postawę, nie musiał dokonywać kalkulacji ani się gimnastykować. Pojmował miłość jako „hojne przelewanie się sprawiedliwości (...), jeśli sprawiedliwość wymierza się w sposób oschły, nie dziwcie się, że

ludzie czują się zranieni. Godność człowieka wymaga o wiele więcej, człowiek jest przecież dzieckiem Bożym”36.

Był kapłanem, który nigdy nie mieszał się w politykę, który nie kłócił się o podlegające opinii kwestie doczesne, który mówił tylko o Bogu i który zbliżał ludzi do Boga. Niemniej jednak, niektóre z jego tekstów mogłyby służyć za wzorzec, na którego podstawie można by kreślić bogate programy politycznego, gospodarczego i społecznego działania. Proszę się przyjrzeć, między innymi, następującemu akapitowi: „Winniśmy bronić prawa wszystkich ludzi do życia, do posiadania tego co niezbędne dla godnej egzystencji, prawa do pracy i odpoczynku, do wyboru stanu, do założenia rodziny, do wydania na świat dzieci w ramach małżeństwa i do możliwości ich wychowania, do pogodnego przeżywania czasu

choroby i starości, dostępu do dóbr kultury, do zrzeszania się z innymi obywatelami w godziwych celach, a na pierwszym miejscu — do poznania i miłowania Boga w pełnej wolności”37.

Można by zapytać, jaka ideologia kryje się za tymi wierszami? Chrześcijańska demokracja? Liberalizm? Socjaldemokracja? Idee ludowe? Socjalno-liberalne? Odpowiedzi udzielił sam ksiądz Escrivá: chodzi o ścisły obowiązek służenia ludzkości, jakiego nie może unikać żaden chrześcijanin o prawym sumieniu.

Pewnego popołudnia w grudniu 1971 roku Ojciec rozmawiał w Villa Vecchia, w Rzymie, z dwoma spośród swoich synów, którzy właśnie przybyli z Hiszpanii – Pablo Bofillem i Rafaelem Caamaño. W pewnej chwili pojawił się w rozmowie temat zwany przez niektórych „opcją na

rzecz ubogich”. Stara sprawa, która już w latach trzydziestych wywoływała u młodego kapłana Josemaríi Escrivy pozornie żartobliwe, ale pełne zdrowego rozsądku i nadprzyrodzonego zmysłu komentarze, jak następujący: „również mają duszę... ci, którzy nie mają wszy”. Obecnie, w spokojnej rozmowie, powiedział:

– Kościół ubogich?... Nie ma Kościoła ubogich ani Kościoła bogatych. Wszystkie dusze są ubogie!

W tych krótkich, niemal surowych słowach tkwi zaskakujący ładunek prawdy teologicznej.

Następnie bardzo powoli, bardzo powoli, jakby rozpoznawał nieznana głębię tajemnicy, Josemaría dokończył to, co powiedział wcześniej:

– Wszystkie dusze są ubogie... Jednakże Kościół jest bogaty. Tak. A

jego bogactwem są sakramenty. I jego bogactwem jest doktryna. I jego bogactwem są wszystkie zasługi Chrystusa...38

Nie dodał niczego więcej. Wstał żwawo, szybko, z wdziękiem, jakby nagle ożywiony jakimś wewnętrznym impulsem, który rozświetlał mu całą twarz. Pablo i Rafael patrzyli na niego ze zdumieniem. Przed chwilą, mówiąc o innych sprawach, Ojciec wydawał im się bardzo starym człowiekiem, bardzo strapionym, bardzo udręczonym cierpieniami... Teraz, w jednej chwili, stał się inny – wstał radośnie, z mocą, śmiało, jakby miał biegiem wyruszyć w drogę. Nie wiadomo dlaczego, przyszły im na myśl słowa pewnego psalmu:
Exultavit ut gigas ad currendam viam.

ROZDZIAŁ VI

Dlaczego narody się buntują? We wtorki psalm 2. Nie ma swastyk na

*mieczach. Trzy batalie Opus Dei.
Wiara córek węglarza. Torreador,
który zna łacinę. Jak dotrzeć do
„dyrektora”. Na dachu Watykanu. „In
silentio et in spe” „Pomieszczą się...!”
Escrivá na skraju rezygnacji.
Okaleczony posąg. Te Deum z
zadyszka. Zastrzeżona notatka
Escrivy do Papieża. Odwiedziny ojca
Arrupe. Rozwiązanie na epitafium.
Dziwna prorokini. Dzień, w którym
Escrivá przystąpił do Opus Dei. Silny
mąż, który poświęcił swe ciało.*

We wszystkie wtorki roku
członkowie Opus Dei odmawiają
psalm drugi. To dawny zwyczaj. Ma
swoje początek w 1939 roku. Jest to
zwyczaj rodzinny i zwyczaj
wojskowy. Psalm ten ma wydźwięk
militarny. Mocny psalm, który mówi
o buncie, o zerwanych powrozach, o
odrzuconych jarzmach, o buntach i
spiskach wśród książąt, aby nękać
swojego Pana i Pomazańca... Twardy
psalm, w którym Bóg śmieje się i

naigrawa ze swych wrogów,
poskramia ich, kruszy jak naczynie
garncarza i rządzi nimi żelazną
różgą... A równocześnie jest to czuły
psalm, w którym ten sam Bóg ogłasza
swoją miłość do Syna, Syna, którego
dzisiaj, codziennie na nowo, rodzi...
Psalm rozpoczyna się pytaniem
rzuconym na ziemię.

Jest to podwójne, natarczywe
pytanie, które zawsze pozostaje
otwarte, dlatego że zawsze jest
aktualne: Dlaczego narody się
buntują, czemu ludy knują daremne
zamysły?

W średniowieczu templariusze
również odmawiali ten psalm 2, na
stojąco, przed wyruszeniem do
bitwy. Na swojej tarczy nosili
wyobrażenie dwóch wojowników na
grzbiecie jednego konia.

Prawdopodobnie jeden z rycerzy
wziął drugiego i podzielił się z nim
miejscem. A zatem dwóch jadących

na jednym wierzchołku jako symbol surowego braterstwa.

Założyciel Opus Dei zawsze odnosił się do Dzieła jako do zbiorowej rzeczywistości o podwójnym charakterze: „rodzina i wojsko”. I jest prawdą, że od momentu, w którym w Opus Dei były dwie osoby – założyciel i ktoś drugi – Dzieło było rodziną i było wojskiem. Rodzina to gościnność, zaufanie, towarzystwo... A wojsko – wymagania, dyscyplina, walka... W pewnym sensie, bez zamiaru doszukiwania się innych podobieństw, trafnym przedstawieniem tego podwójnego charakteru mogłaby być tarcza templariuszy.

Niemal całe ustne i pisemne nauczanie Świętego Josemaríi Escrivy de Balaguer mówi o walce: walce uporczywej i wytrwałej, walce indywidualnej i konkretnej, ale walce z samym sobą, nie z innymi,

nie z kimkolwiek innym. Od początku założyciel pojmował Opus Dei jako rodzaj wybitnej służby wojskowej – wojska chrześcijan, dalekie od wywoływania wojny, mające uczynić pokój... Zasiewające w świecie radość i pokój albo, mówiąc bardziej subtelnie, radość z pokojem. Nie wrzaskliwą radość czy też radość zdrowego zwierzęcia. I nie uśpiony pokój albo pokój typowy dla *dolce far niente**. Nie. Nerwem dającym życie tej radości z pokojem, owemu *gaudium cum pace*, jest walka, wysiłek, asceza, wojna: „Walka to ludzkie życie na ziemi”, mawiał ksiądz Escrivá nawiązując do Hioba, którego siła zasługiwała zresztą na podziw prędszej i w większym stopniu niż jego cierpliwość.

Pax in bello – pokój w wojnie. Tak można by określić w skrócie jeden dzień albo całe życie w Opus Dei.

Pax! – takiego pozdrowienia używa to wojsko w rodzinie.

Zaś okręt flagowy tego wojska, prałacki kościół Opus Dei w Rzymie, wybudowany na głębokości wielu metrów pod Villa Tevere jest poświęcony właśnie Najświętszej Maryi Pannie, Królowej Pokoju. Nie jest przypadkiem ani dekoracyjnym kaprysem, że w tym kościele umieszczono gablotę z mieczami. Na marginesie trzeba zauważyć, na żadnym z nich nie ma symboli nikczemności ani tyranii. Mimo że ktoś o lepszej fantazji niż pamięci tak twierdził, w tej gablocie nie ma swastyk ani symboli, które kiedykolwiek mogłyby przedstawiać nienawiść jednych ludzi wobec innych. Zresztą miecze te nie przeszły chrztu bojowego. Są to szpady używane podczas defilad, krótkie szpady galowe... Pokojowa biała broń. Plastyczną siłą tej kolekcji broni jest jej symboliczna wymowa:

Pax in bello – pokój... w wojnie. Nie pokój szczęśliwych ludów bez historii, tylko dojrzały owoc, który zdobywa się walcząc, zawsze w bitewnym szyku i zawsze stojąc na straży.

Ludzie z Dzieła nie są wojowniczy, tylko nastawieni pokojowo. Niemniej jednak od swoich pierwszych minut Opus Dei musiało „zadawać sobie gwałt”, żeby zdobyć swój okruszek szczęścia, swoją porcję pokoju. Przez ponad pięćdziesiąt lat pozostawały otwarte trzy bitewne fronty. Odbywały się trzy równoczesne batalie: prawna, ascetyczna i formacyjna.

„Batalia ascetyczna”, dotycząca osobistej świętości każdego człowieka, to pasjonująca walka każdej kobiety i każdego mężczyzny między gliną, która ściąga w dół, a łaską, która zachęca do pójścia w górę. W Opus Dei to szlachetna

walka, która nie odbywa się w mrocznych zaułkach pożądliwości, tylko na jasnych placach cnoty. Nie chodzi o to, że członkowie Opus Dei uważają się za bezgrzesznych, tylko o fakt, że trudzą się w Miłości.

„Batalia formacyjna” zajmowała dużo czasu i pochłaniała wiele pracy Świętego Escrivy de Balaguer. Było to autentyczne oddychanie *usta-usta* poprzez formację tych, którzy mieli formować innych („wy jesteście pomostem... wy tworzycie ciągłość”, mawiał założyciel w latach pięćdziesiątych do studentów Kolegium Rzymskiego). Należało sprawić, i udało się to osiągnąć, żeby wszystkim w Dziele umożliwić poważne studia filozoficzno--teologiczne, dostosowane do zdolności intelektualnych i kulturalnego poziomu tych, którzy mieli je odbywać. Nie chodziło o produkcję przemądrzałych mężczyzn i kobiet, tylko o to, żeby każdy

członek Opus Dei, bez względu na to, gdzie mieszka, i bez względu na to, czym się zajmuje, mógł uzyskać wystarczającą pobożność i osąd moralny, aby swobodnie poruszać się we własnym środowisku.

Jeżeli żaden chrześcijanin nie powinien kroczyć ulicami świata w miękkich bamboszach czułości i miękkiej pobożności, tym mniej chrześcijanie, którzy zdecydowali się sprawić, aby społeczeństwo świeckie ponownie spojrzało na Boga i ludzi, poprzez wywieranie od środka wpływu wywołującego taką zmianę. Ludzie ci, bez względu na to, jak są normalni i zwyczajni, potrzebują dobrze wyposażonych plecaków wiary mądrej, wiary wykształconej – „doktryny teologów”, która nie objawia się w jałowym, suchym, stepowym życiu wewnętrznym, tylko w soczystej, spontanicznej i nieskrępowanej „dziecięcej

pobożności”. O taki właśnie tandem chodzi.

Kiedy się mówi, że „Opus Dei to jedna wielka katecheza”, chodzi o to – i nie jest to coś błahego – że każdy człowiek z Dzieła (lekarz, piłkarz, wykładowczyni, handlarz winem, dziennikarz, listonosz, sportowiec, śpiewaczka operowa, taksówkarz, gospodyni domowa, żołnierz...) musi mieć możliwość przekazywania osobom ze swojego środowiska pewnych, atrakcyjnych i jasnych, bardzo jasnych, wiadomości o Bogu. To znaczy, musi mieć możliwość przekazywania informacji o tym, czym jest jego wiara, o Tym, kogo miłuje i o tym, dlaczego ma nadzieję.

W Opus Dei ludzie nie działają zgodnie z minimalistyczną zasadą *jakoś leci*, na której opiera się „wiara węglarza”. Nawet węglarz musi chwycić za książkę. I ten sam talent – mały bądź duży, który wykorzystuje

w swoim interesie kupna i sprzedaży
miału, drewna i węgla, musi
wykorzystać również do poznania
fundamentalnych prawd,
katolickiego credo. Dlaczego mają
być „kasty”, jeśli chodzi o
poznawanie wiary? Dlaczego
najrozmaitsi „węglarze” na świecie
mają mieć pobożność analfabety, bez
racjonalnych argumentów, religię
opartą na emocjonalnych odruchach,
moralność z zamkniętymi oczami i
bez oparcia na solidnej doktrynie?

À propos porównania z węglarzem,
istniał, a być może dalej istnieje, na
obrzeżach starego Madrytu, w
dzielnicy Ciudad Lineal, stary skład
węgla należący do Rufino Fraile. Na
półce leżało na stosie cztery czy pięć
książek: Ewangelie, *Rozważania
ascetyczne**, *Katechizm nauki
chrześcijańskiej dla dorosłych*,
biografia Świętego Tomasza
Morusa... Wszystkie te książki były
często używane, oprawione w folię

dla ochrony przed czarnym pyłem węglowym. Z książek tych korzystały Pauli i Mary, córki Rufino,... od kiedy wstąpiły do Opus Dei.

Ten sam szkielet świadomej, uformowanej pobożności wyczuwa się również za następującą, powtarzaną dziesiątki razy, sceną. Torreador Antonio Bienvenida obchodzi arenę potrząsając uszami byka, z którym właśnie walczył. Publiczność huczy owacjami i oklaskami. Matador uśmiecha się patrząc gdzieś ponad odkrytymi ławkami. To apoteoza. Głosem cichym, chociaż słyszalnym dla niektórych chłopców od podawania szpady, powtarza: *Deo omnis gloria!... Deo omnis gloria!** To pochwała na cześć Pana Boga. W zabawnej, z andaluzyjska brzmiącej, łacinie Bienvenida „zwraca” Bogu całą chwałę i sukces swojej wspaniałej walki.

Jednakże myliliśmy się od początku do końca ten, kto doszedłby do wniosku, że członkowie Opus Dei porozumiewają się z Bogiem łacińskimi zdaniami. Przeciwnie – „dziecięca pobożność” pomaga unikać „modlitwy z książki”, afektowanego zadęcia, sztucznego formalizmu.

Ksiądz Escrivá uczył swoje dzieci obcować z Bogiem w sposób naturalny, bez krępującego gorsetu. On sam, wybitny znawca łaciny, lubił swobodny przekład, aby jakiś przysłówek lub gerundium nie tłumili tego, co pragnie powiedzieć serce.

Za jego wskazówką na nadprożu drzwi prowadzących do pokoju dziennego w Villa Vecchia wyryto w kamieniu następujące słowa:
Respiciat nos tantum Dominus noster et læti serviemus^{**}. Pewnego razu, przechodząc tamtędy, ksiądz Escrivá

zatrzymał się i z przenikliwym wyrazem twarzy kogoś, kto rozmawia z Bogiem, powiedział na głos:

–Wystarczy nam, by Pan na nas popatrzył, i będziemy wesolutko pracować!1

Przetłumaczył prawidłowo, ale nie przy pomocy słownika, tylko serca.

Ze względu na tę samą wolność ducha i dlatego że miłował Boga z całej swojej duszy, obcował z Nim z ufnością dziecka, które wie, że jest kochane, rozpieszczane, że są wobec niego stawiane wymagania ... i że jest akceptowane.

– Bądźcie jak dzieci przed Bogiem. Ja przez cały dzień odmawiam akty strzeliste jak dziecko... po prostu dziecinada! Gdybyście ich posłuchali... rozśmieszyłyby was! A może... pobudziły do płaczu!2

Niekiedy zalecał swoim córkom i swoim synom:

– Jeżeli podczas waszej osobistej modlitwy widzicie, że nie jesteście w stanie zająć się nawet rozproszeniem, wówczas powróćcie do rozważania tych wspaniałych modlitw, jakie mamy my, chrześcijanie: *Ojcze nasz*, *Zdrowaś, Maryjo...* Są jak otwarta książka! Jedno słóweczko... odczekać trochę... kolejne słóweczko... znowu trochę odczekać... I tak dalej!

On sam zaś odkrywał pokłady złota w każdym różańcowym *Zdrowaś, Maryjo*. Niekiedy podkreślał jakieś słowo recytując „módl się za nami grzesznymi *teraz...*”, innym razem zaś mówiąc „*w godzinę śmierci naszej*”. Albo zachwycił się odkryciem właściwego „przebóstwienia” Najświętszej Maryi Panny, kiedy mówił: „Pan z Tobą”.

Pewnego dnia podróżował z Álvaro del Portillo i swoimi innymi dwoma synami szosą. Dotarłszy do wysokości Bolonii zauważył sylwetkę dzwonnicy. Sercem i umysłem wzlatując ku odległemu tabernakulum przyłożył obie ręce do ust, jakby chciał uczynić z nich tubę i powiedział spontanicznie:

– O Panie...! Bardzo czułe pozdrowienie od nas wszystkich, którzy jedziemy tym samochodem!

Ta „dziecięca pobożność”, która od dzieci brała wesołość, nie głupawy infantylizm, ale szczerść i prostotę (to, co Pascal nazywał *czystą łaską*), wynajdywała mnóstwo przyrodzonych sposobów, żeby obcować z najbardziej nadprzyrodzoną rzeczywistością. Na przykład Josemaría Escrivá doszedł do głębokiej „przyjaźni” ze swoim Aniołem Stróżem. Był tak świadomy jego towarzystwa, że za każdym

razem, kiedy przekraczał próg jakichś drzwi, bez względu na to, jak lekko szedł, robił coś niedostrzegalnego, zauważanego tylko przez kogoś, kto już o tym wiedział. A mianowicie zatrzymywał się na sekundę, żeby przepuścić swojego Anioła Stróża³.

Nie ma nic bardziej odległego od rzeczywistości niż wyobrażanie sobie ludzi z Dzieła odmawiających modlitwy przy pomocy naukowych laboratoryjnych teorii albo suchej teologii nienawodnionej sokami ich własnego życia. Najistotniejszym kluczem Opus Dei jest fakt, że modli się tym, czym się żyje... a żyje się tym, czym się modli.

Jedną z trosk księdza Escrivy było, aby jego dzieci unikały błędów doktrynalnych i aby ich sumienie nie było rozmywane. Z wielką mocą nalegał, aby czuwali, aby nie „połykali” każdej książki, bez

podjęcia uprzednio środków ostrożności. Były to chwile, kiedy wielu katolikom, zaniepokojonym kompleksem galopującego „postępu”, który groził tym, że będą stać w miejscu, poprzestawiały się kryteria albo runęły fundamenty.

– Bądźcie roztropni ... Mówi wam to człowiek, który coś wie, i to nie dzięki doktoratom, tylko dzięki latom życia... Mówi wam to stary kapłan... I mówię wam to, ja, który nie jestem „kunktatorem”.

On sam, zanim zabrał się do czytania uczonych traktatów teologicznych, prosił o radę.

Kogo zaś prosił o taką radę? Z pokorą, otwarcie, udawał się do swojego syna, który w danym momencie pełnił funkcję kierownika duchowego Dzieła.

Carlos Cardona, metafizyk o wielkim wymiarze intelektualnym, wspomina

wyrażnie ów wrześniowy dzień 1961 roku, kiedy Ojciec powiadomił go ustnie, bez wstępów i z zaskoczenia, o jego nominacji na stanowisko kierownika duchowego Opus Dei na cały świat. Było to w Villa Tevere, w sali roboczej, zwanej *Comisiones*. Usłyszawszy tę nowinę, Cardona wyraził całą swoją twarzą niekłamaną udrękę pomieszaną z naturalną obawą, że „nie potrafi stanąć na wysokości takiego zadania”.

Ksiądz Escrivá – człowiek wyjątkowo uzdolniony do „rozpoznawania ducha”, co było bardziej nadprzyrodzonym darem niż umiejętnością szybkiego „przenikania ludzi”, zrozumiał, że w udręce i w strachu jego syna może tkwić błędne przekonanie, że powierzane mu zadanie, musi wykonać gołymi rękami, tylko przy pomocy własnego wysiłku, siłą własnych mięśni i talentu... Czyżby

zapomniał, że, jak każdy inny kierownik Dzieła, ma być tylko „narzędziem” – tym bardziej użytecznym, im bardziej gotowym do współpracy? Faktem jest, że Escrivá wbijając swój wzrok w szare oczy Cardony, powiedział mu:

– Nie mianowałem cię z przyczyn pozytywnych..., bo takich nie ma. Mianowałem cię dlatego, że negatywne przyczyny, które są, nie mają dostatecznego znaczenia, żeby w tym przeszkodzić.

Surowe i wcale niepochlebne słowa. Jednakże Carlos Cardona, który mieszkał już pięć lat z Ojcem pod tym samym dachem, wyczuwał w głębi, jak bardzo Ojciec go kocha, jak dobrze go zna i że nie pominie okazji, aby od niego wymagać, aby go poprawiać, aby dać mu w czuły sposób po nieco zadartym intelektualnie nosie, co jest bardzo częste u wybitnych ludzi.

Nastała chwila ciszy. Ojciec, z pewnością kowala, który hartuje stal, wyjmując ją rozgrzaną do czerwoności z ognia i wrzucając do zimnej wody, wciąż zaglądał rozmówcy w głąb źrenic i mówił dalej:

– Są twoi bracia, którzy zrobiliby to lepiej niż ty... Jednakże potrzebuję ich tam, gdzie są teraz. Natomiast ty nie możesz ich tam zastąpić.

I od razu nastąpiła gwałtowna zmiana: Ojciec się uśmiechnął. Uśmiechnął się ustami, oczami, policzkami, czołem... Wyciągnął ręce. Wziął swojego syna za ramiona, ściskając go pełnym miłości ruchem. Nazwał go po imieniu i wyszedł naprzeciwko jego trosce:

– Jednakże ty, Carlos, mój synu, nie martw się. Pomożemy ci! A nam wszystkim uda się to... z łaską Bożą.

Później, jakby dla zaprezentowania istotnego ładunku odpowiedzialności, który właśnie złożył w jego ręce, wychodząc już z pokoju, powiedział mu pół żartem, pół serio:

– „Ojcze duchowny”, módlcie się za mnie do Boga, Pana naszego! Amen.

W odpowiedzi na to Carlos Cardona poszedł prosto jak strzała do kaplicy Świętych Apostołów. Tam upadł na kolana i powiedział do Pana z pełną ufności śmiałością:

– Przekazuję Ci tę nominację. Ty bądź kierownikiem duchowym... Ja będę pracował dla Ciebie, na Twoje rozkazy – ja będę Twoim „oficerem”4.

To dosłownie „dziecięca pobożność”, jakiej nauczał Ojciec. To wcielony w życie punkt z *Drogi*: „«Polegam na tobie, zobaczmy co zrobimy!...» — A

cóż mielibyśmy czynić innego, jak polegać na Nim!”5

Carlos Cardona nie mógł uniknąć kolejnego oszołomienia, kiedy po upływie krótkiego czasu, Ojciec radził się go na temat swoich doktrynalnych lektur i z całą prostotą poprosił go o listę traktatów z teologii na temat Trójcy Przenajświętszej.

– No cóż... zobaczymy, co mi dasz! Niech to będą książki z prawidłową nauką. Sprawdzone! I absolutnie prawe... Za nic nie chciałbym narazić mojej wiary na niebezpieczeństwo!6

Trzecia „batalia”, jaką musiało stoczyć Opus Dei – *ad extra**, bo nie zależało to od jego członków, nie dobywając przy tym z pochwy innej broni niż wiele modlitwy i wiele nauki, wiele nadziei i wiele milczenia, to bitwa prawna.

Chodziło o wydeptanie w gąszczu ogólnego prawa Kościoła nowej drogi, ścieżki prawnej zdatnej do tego, żeby Dzieło mogło istnieć, działać i rozszerzać się zgodnie ze swoim świeckim charakterem.

Nie przybyli, jak powiedział ów wysoki hierarcha z kurii, „o wiek za wcześniej”, ale z pewnością pośród krótkich postępów, długich przestojów, okrężnych dróg i wertepów, które nie prowadziły tam, gdzie pragnęli dotrzeć, minęło ponad pół wieku – od 1928 do 1982 roku – aż Opus Dei uzyskało odpowiednią dla siebie formułę prawnokanoniczną jako prałatura personalna o światowym zasięgu.

Ta batalia, również pokojowa, miała długie okresy przejściowe – blokady, impasy, czynne oczekiwanie, podczas których decyzja spoczywała zawsze na „dachu” Watykanu. Nie oznacza to, że dokładnie na biurku w

gabinecie Papieża. Pod dachami Watykanu jest wiele gabinetów i wiele biur.

Nadproża nad drzwiami sali Rady Generalnej Opus Dei w Villa Tevere podsumowują i przedstawiają, w jaki sposób przeżywa się i wygrywa tę trzecią bitwę: *In silentio et in spe erit fortitudo vestra**.

13 stycznia 1948 roku Ojciec i ksiądz Álvaro podróżowali drogą z Rzymu do Mediolanu. Był zimny, ciemny i bardzo zamglony dzień. Mijał niecały rok, od kiedy w lutym 1947 roku Pius XII przyznał Dzieku *Decretum laudis*. Oczekiwano ostatecznej aprobaty. Samochód jechał powoli z zapalonymi światłami. Dotarli do wysokości Pawii, kiedy Escrivá, zamyślony i milczący, nagle krzyknął: „Pomieszczą się!”

Właśnie znalazł prawnokanoniczne rozwiązanie, aby również osoby żyjące w związku małżeńskim mogły

być członkami Opus Dei⁷. Było już wiele przygotowanych osób, próbujących być świętymi w małżeństwie, w pracy zawodowej i we własnym środowisku społecznym. Praktykowali nawet normy i zwyczaje Opus Dei. Brakowało im tylko powiązania z Opus Dei węzłem prawnym.

Założyciel sformułował swój wniosek do Stolicy Świętej 2 lutego 1948 roku⁸. I bez większego opóźnienia otwarto drzwi żonatym członkom Dzieła. Pierwszymi trzema byli Víctor García Hoz, Tomás Alvira Alvira i Mariano Navarro Rubio. Po kilku miesiącach dołączyło do nich wielu innych.

Od tej chwili Escrivá odczuwał z coraz większą siłą „napór” kapłanów diecezjalnych. Do jego duszy pukała kwestia opieki duchowej, wzbogacania kulturalnego a nawet ludzkiej samotności tak wielu

kapłanów, którzy żyli pozostawieni sami sobie.

Rozwiązaniem pozwalającym dobrze się nimi zająć, byłoby wstępowanie tych, którzy mają takie powołanie, do Opus Dei. Jednakże jak pogodzić przynależność do Dzieła z zależnością od własnych biskupów? Escrivá obracał na wszystkie strony problem ewentualnego „podwójnego posłuszeństwa”. I w takim stanie ducha myślał uczciwie, że Bóg żąda od niego niezwykle kosztownej ofiary porzucenia Dzieła i założenia instytucji poświęconej kapłanom diecezjalnym.

Nie tylko w Hiszpanii, niemal w całej starej Europie, duchowieństwo wielkich miast było wówczas klasą „zdeklasowaną”, znajdującą się na marginesie, w związku z pewnymi kryzysami swojej społecznej pozycji. Wielu spośród wiejskich kapłanów miało marną opiekę i odczuwało

duchową samotność, bez żadnych bodźców i zachęt.

Ksiądz Escrivá cierpiał tak samo z powodu niemiłosiernej samotności parafialnego księdza z wielkiego miasta, jak też wiejskiego księdza – tego *drugiego Chrystusa*, którego powołanie niemal bez żadnej opieki z niczyjej strony albo wiedło, albo pospoliciało, albo musiało utrzymywać żywotność siłą twardego heroizmu.

W tym samym 1948 roku, podczas podróży z Rzymu do Hiszpanii Josemaría rozmawiał ze swoim rodzeństwem – Carmen i Santiago. Przedstawił im wstępnie poważne postanowienie, jakie uczynił, i o którym powiadomił już nawet nieoficjalnie Stolicę Świętą. Jako że zbliżała się ostateczna aprobata Dzieła i niebawem miało do niej dojść, on miał się poświęcić organizowaniu stowarzyszenia

zajmującego się wyłącznie kapłanami.

– Biorąc pod uwagę całą waszą współpracę i pomoc dla Dzieła, sądzę, że macie prawo dowiedzieć się jak najszybciej o tym nowym etapie...

9

Wiedzieli już o tym Del Portillo i członkowie Rady Generalnej. Jednakże potrzebował jeszcze więcej siły, żeby powiedzieć to swoim córkom. Nie chciał tego opóźniać i pewnego pięknego dnia zadzwonił do Encarnity Ortegi i Nisy Guzmán do Villa Vecchia:

– Nasze rozwiązanie prawne jest już prawie gotowe. Myślę, że Dzieło będzie mogło się rozwijać beze mnie. Natomiast Pan kazał mi odczuć samotność, w jakiej znajduje się tak wielu moich braci kapłanów... Przestaną być prezesem generalnym Opus Dei, aby poświęcić wszystkie moje siły i cały mój czas nowej

organizacji, wyłącznie dla kapłanów... Sprawia mi ból to duchowe, ascetyczne, kulturalne a nawet ludzkie opuszczenie, w jakim żyją księża, rozsiani po owych Bożych wioskach i osiedlach. Mają do spełnienia bardzo wielką misję. Kapłan nigdy nie idzie sam do nieba... ani sam do piekła. Na dobre i na złe zawsze ciągnie za sobą długą świętą dusz. A jednak, jakże samotni i opuszczeni są tutaj na dole, na ziemi!

Encarnita i Nisa skamieniały. Ojciec spostrzegł piorunujące wrażenie, jakie wywarła na nich ta wiadomość.

– Musicie być bardzo spokojne, bardzo pogodne, bardzo zdecydowane... Bardziej niż kiedykolwiek! Módlcie się. Nie mówcie dużo o tej sprawie. Chciałem jednak, żebyście o niej wiedziały... Musiałyście to wiedzieć!

One ani nie rozumiały, ani nie wyobrażały sobie, jak Dzieło ma się

dalej rozwijać bez zachęty i kierownictwa założyciela. Wiedziały, że on – i tylko on – otrzymał od Boga pełne przesłanie na temat Opus Dei. Czuły się przytłoczone. Jednakże milczały. Nie komentowały tego nawet we własnym gronie. Ukryły zmartwienie w sobie. Przełknęły pigułkę bólu i niepewności... i nadal pracowały, jak gdyby nigdy nic¹⁰.

W tym samym okresie 1948 roku Ojciec wydał dziwne polecenie swojemu synowi będącemu miłośnikiem fotografowania. Chciał, żeby ten zrobił bardzo szczególne i bardzo „nowoczesne” zdjęcie jak na ten okres. Widać było, że Ojciec ma wszystko dobrze przemyślane. Na fotografii miało nie być żadnej twarzy. Chodziło o obraz nasycony symbolizmem: na pierwszym planie ręce Álvaro del Portillo z rozłożonymi dłońmi przyjmujące z ręki Ojca drewniane osiołki... Osiołek – posłuszny, pokorny i pracowity –

jest od zawsze ukochanym
zwierzęciem wszystkich członków
Dzieła. Ojciec sam siebie uważał za
osiołka *ut iumentum**. I wielokrotnie,
dla wskazania któremuś ze swoich
synów, że ma mu powierzyć nowe
zadanie formacyjne albo stanowisko
kierownicze, uciekał się do metafory:
„synu, zrobię cię osiołkiem
roboczym...”

Fotografia ta miała się później
ukazać w wewnętrznych
publikacjach Opus Dei z suchym
podpisem o treści: „Zdjęcie
wykonane w 1948 roku. Nasz Ojciec
wkłada osiołki w ręce księdza
Álvaro” jako jedynym komentarzem.
Nie zwróciło niczyjej uwagi. Nikt nie
poprosił o głębsze wyjaśnienie.
Jednakże jest prawdą, że to zdjęcie
miało przedstawiać przekazanie
władzy. Ojciec miał już porzucić
kierowanie Dzielęm. Natomiast
następcą był z całą pewnością ksiądz

Álvaro. Nie na próżno od 1939 roku założyciel nazywał go *saxum*... skała.

W kilka miesięcy później, w sierpniu, w Molinoviejo, ksiądz Escrivá ponownie wezwał Encarnitę i Nisę.

Nie poruszali w ogóle tej kwestii.

Było zrozumiałe samo przez się, że nie należy gadać ani lamentować.

Jednakże Ojciec dobrze wiedział, że cierpią. Zaprowadził je, żeby zobaczyły prace budowlane.

Przechodzili przez korytarz, na którego ścianach znajdowały się mapy namalowane temperą i drewniana wypukłorzeźba przedstawiająca mitologiczną scenę z Achillesem rannym w piętę – jego jedyny słaby punkt. Dochodząc do niewielkiej fontanny z szarego granitu wykonanego w murze Ojciec się zatrzymał. Wskazał i odczytał czerwone litery wyryte wokół źródła – ryby, z której pyska wypływa woda – *inter medium montium pertransibunt aquae*.

I jakby podejmując wątek owej poprzedniej rzymskiej rozmowy powiedział im ponownie:

– Musicie być bardzo spokojne, bardzo silne, bardzo pogodne, bardzo przekonane. To właśnie: „pomiędzy górami popłyną wody”* – to właśnie powiedział mi Pan!

Ton głosu Ojca był dyskretny. Zdecydowany, ale wzruszony. Ani one o nic nie zapytały, ani on nie powiedział nic więcej. W Dziele nie mówi się o nadzwyczajnych zdarzeniach ani nie doszukuje się wszędzie cudów. Jednakże tam i w tej chwili Nisa i Encarnita miały wyraźne przekonanie, że nic się nie wydarzy. Niebiosa dały na to swoje słowo: „pomiędzy górami popłyną wody”11.

Ciekawe, że Escrivá użył hiszpańskiego czasu gramatycznego zwanego *Pretérito perfecto*: „me lo ha dicho a mí” (‘powiedział mi to’) –

stosowanego zazwyczaj do wydarzeń, które miały miejsce niedawno, nieledwie przed chwilą, aby odnieść się do wydarzenia sprzed siedemnastu lat. W jegożeszycie *Zapisek wewnętrznych* istnieje adnotacja z 13 grudnia 1931 roku: „III Niedziela Adwentu, 1931: *Gaudete in Domino semper** (...). Wczoraj jadłem obiad w domu Guevarów. Będąc tam i nie modląc się, zdałem sobie sprawę – jak wiele innych razy – że mówię: *Inter medium montium pertransibunt aquae* (Psalm 104 (103), 10). Myślę, że w tych dniach miałem na ustach te słowa, same przez się, ale nie przywiązywałem do nich wagi. Wczoraj powiedziałem je tak dobitnie, że poczułem przymus, by je zanotować. Zrozumiałem je: są obietnicą, że O[pus] D[ei] zwycięży przeszkody, kierując wody swego apostołstwa poprzez wszystkie przeciwności, które mogą się pojawić”12.

Mówił o tym jak o czymś bardzo niedawnym, niezależnym od czasu, który upłynął, dlatego że słowo Boże się nie starzeje, jest wypowiedane zawsze. Od tamtego dnia ksiądz Escrivá nosił w sobie niewzruszoną, twardą jak skała pewność kogoś, kto usłyszał Bożą obietnicę, Boże poręczenie. I to właśnie Encarnita i Nisa spostrzegły tam, obok fontanny w Molinoviejo.

Tak, ale... Boża logika wybrała inne drogi. Nie potrzebowała przyjmować potężnej ofiary, jaką gotów był złożyć Bogu Josemaría Escrivá. Ten gest – więcej niż hojny, wprost heroiczny – odejścia od Dzieła, które narodziło się w jego rękach i w którym pozostawił już części swojego życia i honoru, był kolejnym dowodem na to, że Josemaría Escrivá nie uważał się ani za założyciela-właściciela Opus Dei, ani za wyrocznie, ani za czynnik niezbędny do tego, żeby

Dzieło Boże kontynuowało swoją drogę.

Był tak niezachwiany w swojej decyzji, że ponad rok później wciąż myślał o tym samym.

Pod koniec 1949 roku Ojciec przebywał w jednym z pomieszczeń Villa Tevere podczas ożywionych prac murarskich studiując plany rozłożone na pulpicie z jednym ze swoich synów – z zawodu architektem. Nagle, jakby nie mogąc powstrzymać czegoś, co szeptało w środku, powiedział do niego:

– Mój synu, Dzieło idzie naprzód... a ja do niczego nie jestem potrzebny.

Później wyjaśnił mu, że czekał, aż ukaże się dekret Stolicy Świętej z ostateczną aprobatą Dzieła, żeby móc się zabrać niezwłocznie do pracy przy zakładaniu organizacji dla kapłanów¹³.

I na powrót zaczęłyby się awantury i komentarze, i oszczerstwa!

Jednakże to Bóg jest Panem czasu. Tym razem, aby dokonać „więcej i lepiej”, zrobił wszystko później, zamiast „wcześniej”.

Wbrew wszelkim przewidywaniom i mimo życzeń niektórych opóźniała się ostateczna aprobata, którą miał zatwierdzić Pius XII. Nawet mimo przychylności wszystkich opinii w kurii, 1 kwietnia 1950 roku sprawa została niespodziewanie odroczone. To *odroczenie* mimo wszystkich niedogodności ostatecznie okazało się czynnikiem opatrnościowym. Chodzi o to, że właśnie w tej przerwie, podczas wymuszonej wiosennej zwłoki, Josemaría Escrivá jasno „zrozumiał”, że w Dziele jest miejsce również dla kapłanów diecezjalnych. Być może byłoby czymś bardziej prawidłowym powiedzenie, że w rzeczywistości

założyciel „zrozumiał”, jak sprawić, aby Stolica Święta „zrozumiała” to, co on „zrozumiał” już 2 października 1928 roku, kiedy to *ujrzał* Dzieło tworzone przez świeckich i kapłanów.

Tak, jak u osób żyjących w związku małżeńskim, istotą ich świętości jest właśnie ich „powołanie małżeńskie” oraz wszystkie obowiązki ich stanu i zawodu, u duchownych płaszczyzną ich związku z Dziełem miałyby być możliwość uświęcania się w perspektywie ich „powołania kapłańskiego” i wykonywania prac związanych z właściwą im posługą. Nie trzeba było niczego wymyślać ani poprawiać w Dziele takim, jakie wyszło z Bożego umysłu.

Jeśli chodzi o pozorny problem „podwójnego posłuszeństwa”, również rozwiązał się jak mgła. Ci diecezjalni kapłani mieliby tylko jednego zwierzchnika – swojego

biskupa. Cała ich zależność od Opus Dei dotyczyłaby kierownika duchowego, który wyraźnie nie ma funkcji rządzenia. Aby pomagać kapłanom na drodze do świętości, mógłby „doradzać”, ale nie mógłby „nakazywać”.

W miarę jak postępowały prace w Villa Tevere, zespół architektoniczny przeniósł swój „obóz” w oddzielne miejsce – oświetlone i takie, żeby architektom nie przeszkadzano. Przyzwyczajono się już do tej zmiany. Pewnego zimnego grudniowego poranka 1952 roku Ojciec przebywał z dwoma architektami w sali, w której w tym czasie pracowali. Na chwilę wychylił się przez okno i zobaczył na dole – w tym, co wcześniej było ogrodem, a wówczas ogromnym składem cegieł, belek i narzędzi – kilka starych dekoracyjnych kamieni: fragmenty płyt, kroksztyny, kilka kapiteli, wiele fragmentów kolumn... On sam

polecił nabyć „tanio” ten rodzaj elementów i przechowywać, żeby znaleźć dla nich wspaniałą oprawę. Pośród tych detali wyróżniała się biała rzeźba rozciągnięta na ziemi. Była to odziana w togę postać rzymskiego szlachcica. Brakowało jej głowy, rąk i połowy stopy. Kupił ją sam Josemaría Escrivá.

– Ojcie, skąd Ojciec wytrzasnął tego „okaleczonego męża”?

– Ja nazywam go „postrzeleńcem bez głowy”. Ta rzeźba nie jest autentyczna. Pochodzi z tych „antyków-imitacji”... Kupiliśmy ją w Jandolo, na via Margutta, za parę groszy.

– Aha, „nowa ruina”...! I gdzie ją umieścimy?

– To wasza sprawa... Być może na jakimś *cortile** albo dopełniając terrazzo del Fiume... Gdzie uznacie, że będzie lepiej.

Podczas tych rzymskich lat Josemaría Escrivá spędził wiele nocy na czuwaniu do świtu, na bezsenności pogrążonej w modlitwie, nauce, pracy, cierpieniu... czując się po ludzku niezdolny, dlatego że wola Boża i wola ludzi, nawet „ludzi Bożych” zdają się chodzić bardzo różnymi drogami.

Jednej z tych nocy, których nie mógł zasnąć, wstał i wziął książkę Świętego Bernarda z Clairvaux. Na jednej ze stron przyciągnęły jego uwagę następujące słowa, które czytał już wcześniej niejednemu raz: *Non est vir fortis pro Deo laborans, cui non crescit animus in ipsa rerum difficultate, etiam si aliquando corpus dilanietur*^{**}.

Wydarł kawałeczek papieru z kieszonkowego kalendarza i tam zapisał cytat swoim zamaszystym i szerokim pismem.

Następnego dnia, przechodząc przez pracownię architektów, dał papier jednemu ze swoich synów:

– Popatrzcie... Może moglibyście kazać wyryć te słowa na cokole, na którym umieścicie „postrzeleńca bez głowy”, okaleczonego Rzymianina...

Nie jest to polecenie, tylko sugestia. I tak zostaje zrobione.

Papieska aprobata Opus Dei nastąpiła 16 czerwca 1950 roku za pośrednictwem dekretu *Primum inter*. W okresie między przybyciem księdza Escrivy do Rzymu a tą ostateczną decyzją do finansowych trudności związanych z zakupem i rozpoczęciem prac w Villa Tevere doszły niezwykle ciężkie oszczerstwa, które „wyeksportowane” z Hiszpanii zawsze ustami „złorzeczących pocziwych ludzi”, zdobyły sobie kryjówki w Rzymie, w Mediolanie i jeszcze w paru włoskich miastach,

zaczynając krążyć bezkarnie po korytarzach kurii. Jednakże Opus Dei rosło i rozprzestrzeniało się. W 1946 roku w Dziele było 268 członków (239 mężczyzn i 29 kobiet). W pierwszych miesiącach 1950 roku liczba ta wzrosła ponad dziesięciokrotnie – do 2954 członków (2404 mężczyzn i 550 kobiet). Jeśli chodzi o kapłanów – w 1946 roku był to założyciel i trzech innych księży – w 1950 roku było ich już 23, a kolejnych 46 świeckich przygotowywało się do święceń. Nie chodzi tu jeszcze o kapłanów diecezjalnych wywodzących się z seminariów, tylko o świeckich, którzy będąc już członkami Opus Dei i wykonując swoją pracę zawodową, dobrowolnie przyjęli zaproszenie Ojca do wyświęcenia na kapłanów po uzyskaniu przynajmniej kościelnego doktoratu. Wielu z nich miało również doktorat świecki.

Kiedy Dzieło otrzymywało papieską aprobatę, działało już w Hiszpanii, Portugalii, Wielkiej Brytanii, Irlandii, Francji, Meksyku, Stanach Zjednoczonych, Chile i Argentynie. Jak to się mówi, było już spakowane na wyjazd do Kolumbii, Peru, Gwatemali, Ekwadoru, Niemiec, Szwajcarii, Austrii... Zaś po upływie zaledwie ośmiu lat wykonało skok do Azji, Afryki i Oceanii. Jak to zwykle bywa, życie wyprzedziło przepisy.

Latem tego samego 1950 roku Stolica Święta oznajmiła księdzu Escrivie, że można już ogłosić publicznie ostateczną aprobatę. Ojciec zarządził, aby we wszystkich ośrodkach Opus Dei, których wówczas była już setka, odbyła się uroczysta celebracja eucharystyczna i aby odśpiewano lub odmówiono dziękczynne *Te Deum*.

W towarzystwie księdza Álvaro i Salvadora Canalsa, który był już

kapłanem, sam Ojciec udał się do Villa delle Rose, ośrodka dla kobiet w Castelgandolfo, aby przewodniczyć tej ceremonii.

Jedna z przebywających tam kobiet napisała później w swoim notatniku: „Dzisiaj, jak owego 2 lutego 1947 roku, kiedy w mieszkaniu przy placu Città Leonina, dowiedziałyśmy się o *Provida*, widać było, że Ojciec jest bardzo radosny, ale zmęczony. Jakby każdy krok, jaki wykonywało Dzieło, wewnątrz Kościoła, pozostawiał w nim ślad, odcisk... Kiedy brał monstrancję, żeby udzielić nam błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem, drżały mu ręce. Nie był zdenerwowany. Całe jego oblicze zdradzało wielką pogodę. Natomiast był bardzo wzruszony. Nawet podczas śpiewu *Te Deum* jego głos był mniej wyraźny, słabszy niż innymi razy. Wydawało się, jakby miał mu się załamać w gardle...”¹⁴

Naprawdę było to *Te Deum*, które kosztowało wiele trudów, wiele modlitw, wiele wyczekiwania w przedpokoju, wiele nieprzespanych nocy, wiele godzin niepewności... Było to *Te Deum* pełne radości, ale radości zdyszanej.

Teraz miała się rozpocząć, a mówiąc dokładniej miała się nasilić walka, aby norma sporządzona przez ludzi nie stłamsiła duchowości wzbudzonej przez Boga. Duchowości, która albo miała być czysto świecka, albo nie była w ogóle potrzebna... ani Bogu, ani ludziom.

Szybko zdano sobie sprawę, że prawnokanoniczna szata instytutu świeckiego nie tylko jest niewystarczająca i nieodpowiednia dla Opus Dei. Chodziło raczej o to, że ingerując w samą naturę Dzieła, zamiast „przyciasnym strojem”, była raczej „przebraniem”. Opus Dei w

rzeczywistości nie było tym, czym miało być w świetle prawa.

Pius XII wydał już *Provida Mater*. To było już wszystko z jego strony. Za jego pontyfikatu nie należało oczekiwać kolejnej innowacji prawnoduszpasterskiej. Jan XXIII miał inne ciężkie zadanie: zwołanie i rozpoczęcie II Soboru Watykańskiego. Poza tym zamierzano znowelizować obowiązujący Kodeks Prawa Kanonicznego. Trzeba było uzbroić się w cierpliwość i czekać a miało to być długie oczekiwanie.

Niemniej jednak, ogromna liczba pomyłek, które z uporem usiłowały utożsamiać i zrównywać członków Opus Dei z członkami innych „zakonnych” instytucji, zmusiła Mons. Escrivę do zaproponowania rewizji prawnego *statusu* Dzieła. Od marca do czerwca 1960 roku odbywały się różne rozmowy i

wymiana „nieoficjalnych” pism między Álvaro del Portillo a Mons. Scapinellim oraz między Mons. Escrivą a sekretarzem stanu, kardynałem Tardinim. 27 czerwca tego roku na zakończenie pewnej audiencji z gestem wyniosłym i kapitulaniczkim zarazem Tardini powiedział do Escrivy:

– *Siamo ancora molto lontani...!**

Na co Escrivá odpowiedział:

– Tak, jesteśmy jeszcze bardzo daleko... Cóż, ale ziarno zostało zasiane... i nie przestanie przynosić owoców¹⁵.

Opus Dei nie żądało, żeby stworzyć dla jego członków „nowy stan”, tylko ramy prawne zgodnie z tym, czym byli, i tym, co przeżywali. Nie interesował ich „stan doskonałości”, tylko swoboda związana z możliwością osiągnięcia doskonałości przez pozostawanie każdego w jego

własnym „stanie” – w stanie świeckim i w wykonywaniu własnego zawodu lub zajęcia.

Jednakże ten wniosek o rewizję, za sugestią jednej z osobistości z kurii rzymskiej, miał spać snem sprawiedliwych. Kardynał Tardini lojalnie powiedział to księdzu Del Portillo:

– Nawet na niego nie spojrzę. To bezużyteczne...16

Spróbowali jeszcze raz, dlatego że zachęcał ich do tego kardynał Ciriaci, w 1962 roku. Tym razem wniosek formalną i oficjalną drogą dotarł do Jana XXIII. Odpowiedź brzmiała, że „istnieją praktycznie nieprzezwyciężalne przeszkody”17.

Jan XXIII przyjął również na audiencji Josemaríę Escrivę de Balaguer. A przy pewnej okazji powiedział swojemu sekretarzowi, Mons. Lorisowi Capovilli, który

później miał zostać prałatem Loreto:
*L'Opus Dei è destinato ad operare
nella Chiesa su inattesi orizzonti di
universale apostolato* (Opus Dei jest
przeznaczone do otwarcia w Kościele
nieznanych horyzontów
powszechnego apostolstwa)18.

W czerwcu 1963 roku zmarł Jan
XXIII. Konklawe wybrało na papieża
Giovanniego Battistę Montiniego,
który przyjął imię Pawła VI.

Álvaro del Portillo czynił starania u
różnych osobistości z Watykanu
uświadamiając je na bieżąco, że nie
została jeszcze rozwiązana kwestia
instytucjonalna Opus Dei.

Skontaktował się między innymi z
kardynałem Confalonierim, który
biorąc papiery, powiedział typową
dla kościelnej biurokracji łaciną:
*Reponatur in archivo**19. I tak wniosek
o nowy *status*, starający się tylko o to,
żeby na papierze było to samo co w

rzeczywistości, powrócił w kąt zapomnienia¹⁹.

Były nawet dwie prywatne i bardzo serdeczne audiencje Pawła VI udzielone księdzu Escrivie. Na zakończenie pierwszego z tych spotkań Del Portillo przyszedł na chwilę pozdrowić papieża. Paweł VI przyjął go uśmiechnięty, wyciągając ramiona i ciesząc się z ponownego spotkania:

– Księżę Álvaro, księżę Álvaro...!
Znamy się tyle czasu!

– Od dwudziestu lat, Ojciec Święty.

– Od tamtego czasu stałem się starcem...

– O nie, Wasza Świątobliwość, stałeś się... Piotrem!^{**20}

Paweł VI rozumiał – dlatego że znał Opus Dei od dwudziestu lat – że to, czego broni założyciel to świecki i

bardzo wolny stan swoich członków,
„wiernych i zwykłych obywateli”,
pozwalający brać udział z
zachowaniem autonomii w każdej
uczciwej działalności świeckiego
społeczeństwa: prowadzić nauczanie
w niekoniecznie wyznaniowych
szkołach czy na niekoniecznie
wyznaniowych uczelniach,
poświęcać się handlowi albo
bankowości, albo winiarstwu, albo
jakimukolwiek innemu uczciwemu
biznesowi, praktykować medycynę
albo sztuki teatralne, albo
dziennikarstwo w niekatolickich
środkach społecznego przekazu;
zrzeszać się w związkach
zawodowych, stowarzyszać się, robić
karierę w polityce albo w wojsku,
albo w sporcie... „Chcę, żeby w
sprawach społecznych, politycznych i
ekonomicznych moje dzieci miały
taką samą wolność jak inni katolicy –
nie mniej i nie więcej wolności”²¹ –
powiedział Josemaría Escrivá,
właśnie dlatego że wszystkie te

obywatelskie działania oraz wiele innych, było paraliżowanych przez zewnętrzną etykietę instytutu świeckiego.

14 lutego 1964 roku założyciel napisał do papieża „notatkę” *Appunto riservato all’Augusta Persona del Santo Padre**. W niej, pośród innych spraw, zaproponował pewną modyfikację tekstu konstytucji obowiązujących Dzieło od 1950 roku.

Już o wiele wcześniej, opierając się przy tym na uprawnieniach do wprowadzania zmian w tych konstytucjach, udzielonych mu przez Stolicę Świętą, ksiądz Escrivá proponował Piusowi XII pewne zmiany – w sumie trzynaście – wszystkie z nich dotyczyły statusu kobiet wewnątrz Dzieła, aby wzmocnić ich autonomię, ożywiając zarazem jedność. Stolica Święta niezwłocznie wyraziła swoją zgodę.

Propozycja została przedstawiona 16 lipca 1953 roku a papieskie „zielone światło” zapaliło się już po niecałym miesiącu – 12 sierpnia.

Ta notatka nie była niepotrzebna. Wychodziła naprzeciw pewnej błędnej, niewiele wcześniej opublikowanej informacji, głoszącej, że księży Escrivá i Del Portillo wówczas, w 1953 roku, używali małej drukarni w Villa Tevere, „żeby zmieniać teksty Konstytucji... za plecami papieża”.

Jest to nieprawda. Mimo że mógłby się uciec do „przywileju” założyciela, dokonując jakiejś zmiany w statutach, ksiądz Escrivá zawsze robił to po uprzednim wniosku do Biskupa Rzymu. Jak właśnie powiedzieliśmy, w 1953 roku poprosił o zgodę Piusa XII, a w 1963 roku Pawła VI²².

Po „zastrzeżonej notatce” dla Papieża pojawiła się pierwsza oficjalna

odpowiedź, która była *odroczeniem*. Ostatecznie to krótkie, w elegancki sposób niejasne słowo, w watykańskiej dyplomacji nie oznacza przynajmniej zamknięcia drzwi, tylko fakt, że możliwość pozostaje aktualna... na przyszłość. Nie oznacza „nie”, tylko „jeszcze nie”.

Niemniej jednak, Paweł VI sprawił, że ksiądz Escrivá zobaczył, iż podczas II Soboru Watykańskiego mogą otworzyć się nowe drogi umożliwiające upragnione instytucjonalne rozwiązanie dla Opus Dei.

I tak też się stało. W soborowym dokumencie *Presbyterorum Ordinis* (1965) i w tekstach, które interpretują jego postanowienia – *Ecclesiae Sanctae* (1966) oraz *Regimini Ecclesiae universae* (1967) – pojawiały się stopniowo normy ogólne, będące solidną podstawą, na której można wreszcie utkać płótno

na nowy strój – prawną formę prałatur personalnych. W liczbie mnogiej, dlatego że nie chodzi wyłącznie i w sposób wykluczający o utworzenie Opus Dei.

Po publikacji *motu proprio Ecclesiae Sanctae* Josemaría Escrivá z wielkim zadowoleniem mówił swoim dzieciom:

– Tuż po ukazaniu się dokumentu sekretarz Soboru przesłał go księdzu Álvaro z gratulacjami. Każdy, kto ma oczy, widzi, że to strój na miarę Opus Dei²³.

12 września 1965 roku ksiądz Escrivá przyjął w Villa Tevere tyleż oczekiwaną, co upragnioną wizytę: ojca Arrupe, generała Towarzystwa Jezusowego.

Wizytę tę założyciel Opus Dei odwzajemnił udając się na obiad do Borgo Santo Spirito, domu generalnego jezuitów, 10

października tego samego roku. Właśnie przy tej okazji ojciec Arrupe wyraził chęć, aby zrobiono im kilka wspólnych zdjęć na tarasie na tle panoramy Rzymu.

Liczne były epizody intryg, wrogich postaw, lekceważących komentarzy, fałszywego obmawiania... ze strony niektórych jezuitów – chodzi o odizolowane przypadki osób działających zawsze „we własnym imieniu” – przeciwko Opus Dei. Ksiądz Escrivá od pierwszej chwili chciał wyjaśnić te sprawy. Było absurdem, że wśród niektórych zakonników wzrost powołań do Dzieła wzbudzał żywą zawiść. Dlaczego? Dzieło nigdy nie mogło „pozbawić terenu” żadnej instytucji zakonnej, dlatego że powołanie do Opus Dei rodziło się tylko u tych, którzy nigdy nie odczuwali najłżejszej nawet skłonności do stanu zakonnego. Nie było miejsca na rywalizację. Przy licznych okazjach

sam Escrivá de Balaguer
ukierunkowywał i prowadził
dziewczęta i chłopców zbliżających
się do Dzieła, ku ich prawdziwemu
zupełnie odmiennemu powołaniu –
do nowicjatu, do klasztoru. Robiąc
tak, nie uważał, że traci jedną
„sztukę”. Po prostu Opus Dei nie było
miejscem dla danej kobiety czy dla
danego mężczyzny. Zaś osoba nie na
swoim miejscu nie może być ani
skuteczna, ani płodna, ani wierna,
ani szczęśliwa: „Każdy u siebie a Bóg
u wszystkich”.

Ojciec Arrupe przybył ponownie do
Villa Tevere 8 grudnia 1965 roku,
zaproszony na obiad. Towarzyszyło
mu dwóch innych jezuitów: ojciec
Blajot i ojciec Iparraguirre. Obiad
podawano ze starannością i troską.
Poprzedniego dnia ksiądz Escrivá
specjalnie poszedł do Villa Sacchetti i
porozmawiał z osobami
odpowiedzialnymi za kuchnię –
Begoñą Múgica i Maribé Urrutia:

– Jutro przyjdzie do naszego domu na obiad ojciec Arrupe. Nie muszę wam mówić, żebyście się starały, jeśli chodzi o jadłospis, bo robicie to zawsze. Tym razem jednak chciałbym, żebyście wysiliły się nie tylko umysłem, ale kobiecym sercem. Chciałbym, żeby ten człowiek naprawdę odczuł, jak bardzo go kochamy... Ciekawe, co zrobicie!24

Obecnie, przebywając w niewielkiej jadalni dla gości przy ulicy Bruno Buozziego, ksiądz Escrivá opowiadał ojcu Arrupe:

– Kilka dni temu odwiedziły mnie osoby zajmujące się Biblioteką Autorów Chrześcijańskich* z hiszpańskiego wydawnictwa Editorial Católica. Powiedzieli mi, że wydali konstytucje Towarzystwa Jezusowego i chcieliby mojej zgody na opublikowanie prawa partykularnego – *ius peculiare* Dzieła.

„Odpowiedziałem im, że rozumiem, że wydają wasze konstytucje, dlatego że mają one już historię, trwałą podstawę, ponieważ zostały napisane czterysta lat temu.

Natomiast nasze prawo partykularne jest jeszcze bardzo świeże.

Zapewniłem ich, że w swoim czasie również zostanie opublikowane. I dodałem: «Wiem, że się nie pomylę, jeśli powiem, że nie każemy czekać tyle lat co jezuici...!»»

W tym momencie do rozmowy wtrącił się ojciec Iparraguirre, żeby potwierdzić to, co powiedział ksiądz Escrivá:

– Rzeczywiście, pierwsze wydanie zrobiliśmy sto lat temu. To znaczy, że minęły trzy wieki, zanim upubliczniliśmy konstytucje²⁵.

Josemaría Escrivá, człowiek energiczny i impulsywny, nauczył się w życiu wypracowywać zdolność do długiej cierpliwości. Zahartował się

w oczekiwaniu. Nie odczuwał
zwykłego pośpiechu. Odczuwał
wielki pośpiech. Jednakże wiedział,
że sprawy pilne mogą poczekać. I że
to, co jest pilne a ponadto ważne,
musi poczekać. Tak powiedział
swoim dzieciom pewnego
październikowego dnia 1966 roku:

– Muszę wam powiedzieć, że kwestia
drogi prawnej została już
rozwiązana. Jednakże na teraz nie
interesuje nas wdziwanie tego
stroju... Jak będzie właściwy
moment, założymy strój: spodnie i
marynarkę²⁶.

Nie chciał *stravincere*, jak mówią
Włosi*. Nie chciał, żeby wydawało
się, że „wyszedł na swoje”. Był
ostrożny.

Zarówno w rozmowie z nielicznymi
osobami, jak i na spotkaniu z
wieloma osobami ukazywał im, że
autostrada jest otwarta, ale jemu
przypada „określenie momentu,

kiedy zostanie otwarty ruch”27.

„Możemy to zrobić szybciej lub wolniej, w zależności od tego, co nam będzie odpowiadać [...]. Chcemy prowadzić chrześcijańskie życie i zobowiązać się zobowiązaniem miłości opartej na naszej uczciwości... W ten sposób przeżyliśmy wiele lat”28.

Zaś przy innej okazji, potwierdzając na ten sam temat to, co zawsze było w jego umyśle wyraźną ideą, mówił:

– Jakże chciałbym, żebyśmy złapali się za ogon jak młode dorsze! Powrócimy do tego, co było na początku. Żadnych ślubów. Będziemy zawierać umowę, bo tego pragnąłem przez całe życie29.

Tak, nie wymyślił niczego, co różniłoby się od „tego, co było na początku”. Już w latach trzydziestych, mieszkając w Madrycie, Escrivá wpatrywał się w grobowe płyty znajdujące się na

posadzce kościoła Patronatu Świętej Elżbiety, którego był rektorem.

Pewnego dnia, w 1936 roku, przed wybuchem wojny domowej, wskazując te płyty, powiedział do swojego syna Pedro Casciaro:

– Tutaj znajduje się przyszłe rozwiązanie prawne Dzieła.

Casciaro nic nie zrozumiał z całej tej sprawy. Nie domyślał się, co znaczą epitafia z owych dwóch tablic ani nie zastanawiał się nad tym, że Dzieło będzie potrzebować „rozwiązania”, nie rozumiał też dlaczego ma ono być „prawne”³⁰.

Groby te należały do dwóch hiszpańskich hierarchów – obaj byli głównymi kapelanami królewskimi i polowymi wikariuszami generalnymi. Z tego ostatniego tytułu mieli szeroką i szczególną jurysdykcję kościelną. A zatem na tych epitafiach tkwił załączekprałatury o światowym

zasięgu, co Escrivá *widział* dla Opus Dei.

Interesujący jest fakt, że już w owych latach – nawet od 1928 roku – ksiądz Escrivá, mając mentalność prawnika, wyczuwał, że właściwą formułę znaleziono by poszukując czegoś podobnego do ordynariatów albo wikariatów polowych.

Niejednokrotnie Fernando Valenciano i Rafael Caamaño słyszeli, jak założyciel opowiadał następujące ciekawe wydarzenie. Pewnego dnia otrzymał dosyć dziwny list. Dziwny dlatego że pisała go pewna wizytka z Francji, nieznana księdzu Escrivie de Balaguer. Dziwny, dlatego że wizytka podpisała go rzadkim imieniem Sulamitis i poświęcała się propagowaniu nabożeństwa do Miłości Miłosiernej, tak, jak Święta Małgorzata Maria Alacoque propagowała nabożeństwo do Serca Jezusowego. Dziwny, dlatego że taka

zakonnica nie mogła nawet słyszeć o istnieniu Opus Dei..., które wówczas, w 1929 roku było tylko „tym, czego chce Bóg”, „tym, o co prosi mnie Bóg”, „tym... od Boga”. Dzieło – które Josemaría *ujrzał* zaledwie parę miesięcy wcześniej – nie miało ani struktury, ani siedziby, ani nazwy, ani adresu pocztowego. Wreszcie dziwny, dlatego że wiadomość w liście brzmiała mniej więcej tak: ostateczne rozwiązanie dla Dzieła ma nadejść, jak pragnie tego Bóg, ale po wielu zawirowaniach.

Kiedy ksiądz Escrivá opowiadał to swoim podczas jednej z owych „rozmów w małym gronie”, zawsze bardziej intymnych niż gromadne spotkania, nie dodał żadnego wyjaśnienia tłumaczącego zagadkę tak dziwnej „prorokini”, tylko jeden potwierdzający ją fakt: „List ten znajduje się w naszym archiwum”31.

Zwykło się uznawać za oczywiste, że Josemaría Escrivá należał do Dzieła z tytułu tego, że był założycielem albo że, właśnie dlatego że był założycielem, był zwolniony z „wiązania się” z Dziełem. Niemniej jednak, było inaczej.

Josemaría Escrivá de Balaguer, nieprzyjaciel zwolnień, wyjątków i przywilejów, a także wielki zwolennik legalności, również „wstąpił” do Opus Dei... zgodnie z wszelkimi regułami prawa.

Opowiadał o tym on sam, pewnego wrześniowego dnia 1967 roku, podczas krótkiego pobytu w miejscowości Elorrio (prowincja Vizcaya).

Rozmawiał z niewielką grupą swoich dzieci, kierowników Dzieła w Hiszpanii. Była to nieformalna, rodzinna rozmowa, kraszona anegdotami i żartami. W pewnej chwili ktoś zapytał, jak idzie

„szczególna intencja”. Ojciec opowiedział o trudnościach i zagrożeniach, jakie zwykły powstawać, „kiedy opuszcza się boczną drogę, żeby kroczyć królewskim traktem...” I używając już porównania, które tak bardzo mu się podoba – *iter**, wędrówka (hiszpańskie *itinerario*), powiedział obecnym, że Opus Dei mimo tak długiego oczekiwania i tak wielu epizodów prawnych „zawsze podążało prostą drogą”32.

– Właśnie w tych dniach Pan przypomniał mi coś, o czym prawie już zapomniałem. Moment, kiedy ja przystąpiłem do Dzieła... A co sobie myślicie? Że ja nigdy nie przystąpiłem tak po prostu? A jednak tak było! Wstąpiłem do Dzieła w październiku 1943 roku, w obecności biskupa Leopoldo Eijo y Garay, ordynariusza Madrytu, tego, który jako pierwszy udzielił nam aprobaty. I zrobiłem to jak każdy z was,

recytując formułę wierności: *Domine Iesu, suscipe me tibi...*^{**} Prosty a zarazem serdeczny tekst, w którym w ogóle nie występują śluby. A biskupowi Leopoldo wydał się bardzo dobry, taki naturalny!³³

Jednakże oczekiwanie na wstąpienie na „królewski trakt” miało trwać jeszcze wiele lat. Ksiądz Escrivá przeczuwał to. Być może ofiarował Bogu to, że nie ujrzy „ostatniego kamienia” w budynku Dzieła:

– Być może odejdę nie oglądając ukończonego Dzieła... Jednakże Pan pozwala mi oglądać to, czego nie zwykł pozwalać oglądać innym. To dziwne, że osobie, która rozpoczęła jakąś pracę (ja nie chciałem, przez myśl mi nigdy nie przeszło, żeby być założycielem czegokolwiek!) Bóg pozwolił zobaczyć tyle owoców już na ziemi³⁴.

Rzeczywiście, zniwo powołań było niezwykle obfite na wszystkich

kontynentach. W owych dniach 1967 roku ksiądz Escrivá wiedział, że mówienie o Opus Dei to mówienie już o dziesiątkach tysięcy ludzi pracujących w ponad siedemdziesięciu krajach. Dzieło było już urodzajnym terenem. Spełniła się inna przepowiednia Dawida z psalmu 2: „Żądaj ode Mnie, a dam Ci narody w dziedzictwo i w posiadanie Twoje krańce ziemi”.

Jednego z owych pięknych rzymskich wieczorów, w porze *tramonto****, kiedy słońce swoim ostatnim pociągnięciem bezlitośnie rani ochrowe i czerwone tynki ścian Villa Tevere, Josemaría Escrivá z okna spoglądał ku terrazzo del Fiume. Jego dzieci umieściły tam posąg szlachetnego „okaleczonego” jurysty, bez głowy i rąk... Kamienne fałdy tuniki, opadając delikatnie i harmonijnie w pionie, nadawały postaci atmosferę eleganckiej pogody. Ksiądz Escrivá czytał

łacińskie słowa, wyryte na marmurowym cokole: *Non est vir fortis pro Deo laborans, cui non crescit animus...* I tłumaczył je na poczekaniu: „Nie jest silny ten mąż, który trudząc się dla Boga, nie wzrasta duchem w obliczu trudności... choćby nawet poświęcił swe ciało w tym wysiłku”.

I jest tak, jakby sam sobie opowiadał historię swojego życia. Śmiało wykuwanie miedzi, z „dziką” siłą uderzeń. Walka bez broni, znoszenie niełaski, z ową inną „cierpliwą” siłą oporu. To było jego życie: *pax... in bello*.

* Wł. ‘O rety! To strasznie niebezpieczne! Wszyscy utoniemy!’ (przyp. tłum.).

* Wł. ‘słodki Chrystus na ziemi’ (przyp. tłum.).

_ * Wł. ‘środkiem ulicy’ (przyp. tłum.).

_ * Chodzi o uroczystość

Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, czyli Matki Boskiej Zielnej (15 sierpnia). Podczas tego święta, którego obchody zwykle przeciągają się na trzy dni (14-16 sierpnia) wielkie włoskie miasta pustoszeją (przyp. tłum.).

_ * Łac. ‘łagodnie a

zdecydowanie’ (przyp. tłum.).

** Przekład O. Jakuba Wujka SJ

(przyp. tłum.).

_ * Franc. ‘na pamięć’ (przyp. tłum.).

_ * W oryginale *¡Más cornás da el*

hambre! – hiszpański gwarowy z Andaluzji (w literackiej

hiszpańszczyźnie zamiast *cornás*

powinno być *cornadas*). Zdanie

znaczy dosłownie: „Bardziej bodzie

głód”. Była to odpowiedź torreadora

Manuela Garcíi, *El Espartero*, na

pytanie dziennikarza, czy nie boi się tak bardzo ryzykować na arenie.

Niestety, Manuel García zginął w 1894 roku, w wieku 29 lat, właśnie od uderzeń rogów byka (przyp. tłum.).

 ** Wł. ‘wujek Karol’ (przyp. tłum.).

 * Łac. ‘z zimna’ (przyp. tłum.).

 ** Tak nazywają się centralne kolegialne organy zarządzające pracami Opus Dei, odpowiednio dla kobiet i mężczyzn (przyp. tłum.).

 * J 21, 15.17 (przyp. tłum.).

 ** Wł. ‘przydomek’ (przyp. tłum.).

 *** Wł. ‘piękną i wielką rodziną’ (przyp. tłum.).

 * Dosłownie ‘starym domem’ (przyp. tłum.).

 ** *Arco dei Venti* znaczy dosłownie ‘Łuk Wiatrów’ (przyp. tłum.).

* W oryginale *mantón de Manila* – damska chusta, wbrew nazwie pochodząca najczęściej z Chin, wykonana z delikatnego jedwabiu, z wielkimi frędzlami, bardzo bogato haftowana w różnokolorowe kwiaty (przyp. tłum.).

 * Łac. ‘gość, przyjaciel’ (przyp. tłum.).

 ** Najważniejszej drogi prowadzącej z miasta Rzymu na północ (do Ariminum, czyli dzisiejszego Rimini) w starożytnym Rzymie, wybudowanej przez Gajusza Flaminiusza w III wieku przed Chrystusem (przyp. tłum.).

 * Wł. ‘Najlepsze życzenia! Oto jesteśmy!’ (przyp. tłum.).

 ** Wł. ‘kładki’ (przyp. tłum.).

 *** Wł. kolejno ‘Rzeki, Łopaty, Chórzystów, Żółwi, Cyprysu’ (przyp. tłum.).

**** Wł. Fontanna Łodzi, Fontanna
Cynamonowców (przyp. tłum.).

* Prawdopodobnie zwłoszczona
forma hiszpańskiego wyrazu *torreón*
'baszta', po włosku *torrione* (przyp.
tłum.).

** Wł. 'Rzymie, który najpiękniejszy
jesteś na świecie, przepasujesz się
Tybrem' (przyp. tłum.).

* Wł. 'refren' (przyp. tłum.).

* Wł. 'salonik' (przyp. tłum.).

* Łac. *argumentum ad hominem*,
również, i bardziej prawidłowo
argumentum ad personam
'argumentowanie przy pomocy
zarzutów natury osobistej w
stosunku do przeciwnika, zamiast
przy pomocy rzeczowych
argumentów'. Zasadniczo
argumentum ad hominem polega na
powołaniu się na poglądy uznawane
przez przeciwnika dla uzasadnienia

własnej tezy (nawet jeśli tych
poglądów samemu się nie uznaje)
(przyp. tłum.).

* Wł. ‘słodkie nieróbstwo, słodkie
nicnierobienie’ (przyp. tłum.).

* Wydanie polskie: Salvador Canals,
Rozważania ascetyczne [*Ascética
meditada*], tłum. Magdalena Serejska-

-Wróbel, Wydawnictwo Księży
Marianów, Warszawa 2007 (przyp.
tłum.).

* Łac. ‘Bogu cała chwała!’ (przyp.
tłum.).

** Łac. ‘Niech tylko wejrzy na nas
Pan nasz, a z weselem będziemy
służyć’ (Rdz 47, 25) – przekład O.
Jakuba Wujka SJ (przyp. tłum.).

* Łac. ‘na zewnątrz’ (przyp. tłum.).

* Łac. ‘W ciszy i ufności leży wasza
siła’, Iz 30, 15 (przyp. tłum.).

* Łac. ‘jakosiołek’ (przyp. tłum.).

* Ps 104 (103), 10 w przekładzie O. Jakuba Wujka SJ (przyp. tłum.).

* Łac. ‘Radujcie się zawsze w Panu’, Flp 4, 4. Początek Antyfony na wejście przewidzianej na III Niedzielę Adwentu, która na tle tego okresu ma wyjątkowy charakter, podobnie jak IV Niedziela Wielkiego Postu, co objawia się również w kolorze szat liturgicznych. W te dwa dni w roku można używać szat koloru różowego (przyp. tłum.).

* Wł. ‘podwórze’ (przyp. tłum.).

** Łac. ‘Nie jest silny ten mąż, który trudy się dla Boga, nie wzrasta duchem w obliczu trudności, choćby nawet poświęcił swe ciało w tym wysiłku’. Jak się wydaje, jest to parafraza tekstu Seneki cytowanego w przybliżeniu przez Św. Bernarda w liście CCLVI do Papieża Eugeniusza III: «Non est vir fortis, cui non crescit

animus in ipsa rerum difficultate». Oryginalny tekst brzmi następująco: *Exspectas forsitan ut tibi haec dicant: 'turpe est cedere oneri; luctare cum officio quod semel recepisti. Non est vir fortis ac strenuus qui laborem fugit, nisi crescit illi animus ipsa rerum difficultate.'* (Może czekasz, by ci powiedzieli: «Nieprzystojnie jest odejść od ciężaru. Biedź się z powinnością, którąś raz kiedyś wziął na siebie. Nie jest to ani mąż dzielny, ani przedsiębiorczy, jeśli ucieka od wysiłku, jeżeli sama trudność sprawy nie wzmacnia jego odwagi) (Lucjusz Anneusz Seneka (Młodszy zwany Filozofem), *Listy moralne do Lucyliusza*, księga III, XXII, 7, tłum. Wiktor Kornatowski, PWN, Warszawa 1961, str. 80) (przyp. tłum.).

* Wł. 'Jesteśmy jeszcze bardzo daleko...' (przyp. tłum.).

* Łac. ‘Proszę odłożyć do archiwum’ (przyp. tłum.).

** Ksiądz Álvaro del Portillo wykorzystał tutaj podobieństwo włoskich słów: *vecchio... Pietro* (stary... Piotr), po hiszpańsku *viejo... Pedro* (przyp. tłum.).

* Wł. ‘Notatka zastrzeżona dla Czcigodnej Osoby Ojca Świętego’ (przyp. tłum.).

* Hiszpańskie *Biblioteca de Autores Cristianos*, w skrócie BAC – powstała z inicjatywy późniejszego kardynała Ángela Herrery Oria jako kolekcja wydawana w ramach wydawnictwa Editorial Católica. 18 marca 1944 roku jako pierwszy tom kolekcji ukazało się *Pismo Święte*. Obecnie działa jako niezależne wydawnictwo (przyp. tłum.).

* Wł. ‘odnieść przytłaczające zwycięstwo’ (przyp. tłum.).

* Łac. ‘droga’ (przyp. tłum.).

 ** Łac. ‘Panie Jezu, przyjmij mnie do Ciebie...’ (przyp. tłum.).

 *** Wł. ‘zachód słońca’ (przyp. tłum.).

.....

PRZYPISY

AGP = Archiwum Generalne
Prałatury (*Archivo General de la
Prelatura*)

RHF = Rejestr Historyczny
Założyciela (*Registro Histórico del
Fundador*)

Rozdział I

1 Świadcstwa księdza Alejandro
Cantero Fariña (AGP, RHF T-06308) i
Mons. Césara Ortiz-Echagüe (AGP,
RHF T-04694).

2 Luis Mosquera wykonał dwa obrazy: jeden całej postaci, który znajduje się w ośrodku Opus Dei przy ulicy Diego de León w Madrycie i drugi – do połowy, który znajduje się w galleria del Fumo w Villa Tevere (Rzym).

Rozdział II

1 Świadectwo księdza José Orlandisa Roviry (AGP, RHF T-00184).

2 AGP, RHF 21164, str. 1408-1409.

3 AGP, RHF 21165, str. 177.

4 List z 25 I 1961 r., 19.

5 AGP, RHF 21165, str. 985-986.

Doktor Juan Rof Carballo, który opiekował się księdzem Josemarią Escrivá w Madrycie, odradzał mu tę podróż.

6 Ibidem.

7 Ibidem.

8 Mt 19, 27.

9 AGP, RHF 21164, str. 1323-1324.

10 Ibidem, 1409.

Rozdział III

1 List z 9 I 1932 r., 20.

2 List z 7 X 1950 r., 19.

3 AGP, RHF T-21167, str. 1323-1324.

4 Świadectwo Encarnación Ortega Pardo (AGP, RHF T-05074).

5 Konstytucja apostolska *Provida Mater Ecclesia* nosi datę 2 lutego 1947 roku. *Decretum laudis* zawierający kanoniczną aprobatę Opus Dei – 24 lutego 1947 roku, to znaczy, został wydany zaledwie trzy tygodnie po ogłoszeniu nowej konstytucji apostolskiej.

6 List z 8 XII 1949 r., 18.

7 List z 8 VIII 1956 r., 5.

8 Świadectwo Jego Eminencji
Thomasa Kard. Muldoona, biskupa
pomocniczego Sydney w Australii
(tytularnego Fessei), AGP, RHF
T-04261.

9 *Artículos del Postulador*, 296. AGP,
RHF 20755, str. 158.

10 Ibidem, 297. AGP, RH 21503, str.
152. Salvador Bernal, *Josemaría
Escrivá de Balaguer. Szkic biografii
Założyciela Opus Dei*, tłum. Maciej
Stasiński, Księgarnia Świętego Jacka,
Katowice 1991.

11 List z 7 X 1950 r., 21-22.

12 AGP, RHF 21172, str. 507.

13 Jest to jeszcze nieodrestaurowana
rzeźba Najświętszej Maryi Panny,
która patronuje kaplicy w
Molinoviejo. W następnym, 1948,
roku tego samego dnia i w tym

samym miejscu założyciel ponownie spotkał się z grupą swoich „starszych” dzieci, żeby wygłosić przed figurą Matki Pięknej Miłości te zobowiązania do czuwania nad integralnością ducha Opus Dei.

14 Ustna relacja Encarnación Ortega Pardo przedstawiona autorce.

15 AGP, RHF, EF 461206-2.

16 AGP, RHF, EF 461216-1.

17 *Kuźnia*, 221.

18 AGP, RHF 21165.

19 Por. rozważanie *La oración de los hijos de Dios* [Modlitwa dzieci Bożych], kwiecień 1955 r. Por. także AGP, RHF 21165, str. 20.

20 AGP, RHF 21165.

21 AGP, RHF 21503, str. 380.

22 *Kuźnia*, 812.

23 AGP, RHF 21165 i 21171, str. 854.
Świadekstwo doktora Carlo Faellego
(AGP, RHF T-15734).

24 Świadekstwo księdza Fernando
Valenciano Polacka (AGP, RHF
T-05362).

25 Ustna relacja Begoñi Álvarez
Iráizoz przedstawiona autorce.

26 Świadekstwo Mercedes Morado
García (AGP, RHF T-07902) oraz
Marlies Kücking.

Rozdział IV

1 Por. AGP, RHF 20164, str. 862 i AGP,
RHF 21167, str. 742.

2 Por. AGP, RHF 20165, str. 836 i AGP,
RHF 21170, str. 462.

3 AGP, RHF 20165, str. 836, AGP, RHF
21165, str. 850 i AGP, RHF 21170, str.
463-464.

4 Por. AGP, RHF 21170, str. 463.

5 Ibidem.

6 Relacja ustna Lourdes Toranzo przedstawiona autorce.

7 Świadectwo Encarnación Ortega Pardo (AGP, RHF T-05074).

8 Ibidem.

9 AGP, RHF 20162, str. 1055.

10 AGP, RHF 21171, str. 1249-1250.

11 Relacja ustna Lourdes Toranzo przedstawiona autorce.

12 AGP, RHF 20760, str. 462.

13 Świadectwo Rafaela Caamaño Fernández (AGP, RHF T-05837).

14 Świadectwo Encarnación Ortega Pardo (AGP, RHF T-05074).

15 AGP, RHF 20163, str. 1025.

16 AGP, RHF 21166, str. 63.

17 Droga, 481.

18 Świadectwo Encarnación Ortega Pardo (AGP, RHF T-05074).

19 Por. *Kuźnia*, 807.

20 AGP, RHF 21166, str. 59-60.

21 AGP, RHF 20162, str. 598.

22 Świadectwo Carlosa Cardony Pescadora (AGP, RHF T-06138).

23 Relacja ustna Salvadora Suanzesa Mercadera.

Rozdział V

1 Ps 18 (19), 6.

2 Świadectwo Encarnación Ortega Pardo (AGP, RHF T-05074).

3 Tamże.

4 Dane z 1984 roku, dostarczone autorce przez Mariles Kücking.

5 Świadection Encarnación Ortega Pardo (AGP, RHF T-05074), cytujące Mons. Tedeschiniego.

6 Świadection Mons. Césara Ortiz-Echagüe (AGP, RHF T-04694).

7 Spotkanie w akademiku Aralar w Pampelunie, 17 listopada 1969 r.

8 Świadection Mons. Césara Ortiz-Echagüe (AGP, RHF T-04694).

9 Ibidem.

10 Ibidem.

11 Świadection Mercedes Morado García (AGP, RHF T-07902).

12 Ibidem.

13 Wywiad opublikowany w czasopiśmie *Telva* (Madryt) 1 lutego 1968 r. i przedrukowany w *Mundo Cristiano* (Madryt) 1 marca 1968 r. oraz w *Rozmowach z prałatem*

Escrivá, Apostolicum i Księgarnia
Świętego Jacka, Katowice-Ząbki 2006.

14 Świadectwo Mercedes Morado
García (AGP, RHF T-07902).

15 Ibidem.

16 Ibidem.

17 Świadectwo Marlies Kücking.
Spotkanie w Castelgandolfo, 18
marca 1964 r.

18 Ibidem.

19 Ibidem. Spotkanie w Villa Tevere,
4 września 1967 r.

20 Ibidem.

21 Świadectwo Mons. Césara Ortiz-
Echagüe (AGP, RHF T-04694).
Świadectwo Marlies Kücking.
Spotkanie w Villa Tevere, 14
września 1967 r.

22 Por. AGP RHF 21159, str. 926.

23 Świadectwo Mons. Césara Ortiz-Echagüe (AGP, RHF T-04694).

24 Ibidem.

25 Por. Rafael Gómez Pérez, *Opus Dei. Próba wyjaśnienia*, Promotor, Lublin 1998, str. 199-201.

26 Świadectwo Marlies Kücking. Spotkanie w Rzymie, 13 stycznia 1969 r.

27 Por. AGP, RHF 21159, str. 928.

28 Ibidem, str. 936.

29 Ibidem, str. 934-935.

30 Świadectwo Mercedes Morado García (AGP, RHF T-07902).

31 Por. AGP, RHF 20793, str. 44-45.

32 Świadectwo Mons. Césara Ortiz-Echagüe (AGP, RHF T-04694).

33 Ibidem, spotkanie w Molinoviejo,
1 maja 1967 r.

34 Ibidem, kwiecień 1970 r.

35 Ibidem.

36 *Przyjaciele Boga*, 173-172.

37 Ibidem, 171.

38 Świadectwo Rafaela Caamaño
Fernándeza (AGP, RHF T-05837).

Rozdział VI

1 Por. AGP, RHF 21162, str. 700.
Świadectwo doñi Heleny Serrano
(por. AGP, RHF T-04641).

2 Świadectwo Mons. Césara Ortiz-
Echagüe (AGP, RHF T-04694).

3 Spisana relacja Mons. Javiera
Echevarrúi dla autorki.

4 Świadectwo Carlosa Cardony
Pescadora (AGP, RHF T-06138).

5 Por. *Droga*, 314.

6 Świadectwo Carlosa Cardony
Pescadora (AGP, RHF T-06138).

7 Por. AGP, RHF 21169, str. 71.

8 RHF, EF-480202-1. Prośba Mons.
Escrivy do Jego Świątobliwości Piusa
XII.

9 Świadectwo doñi Encarnación
Ortega Pardo (AGP, RHF T-05074).

10 Świadectwo i ustna relacja dla
autorki doñi Encarnación Ortega
Pardo. Por. AGP, RHF T-05074.

11 Ibidem.

12 *Apuntes íntimos*, 476. Cytat polski
za: A. Vázquez de Prada, *Założyciel
Opus Dei. Życie Josemaríi Escrivy*, t. I:
Panie, żebym przejrzał!, tłum. Paweł
Skibiński, Wydawnictwo M,
Księgarnia Św. Jacka, Kraków 2002,
str. 432.

13 Por. AGP, RHF 21181.

14 Świadeństwo i ustna relacja dla autorki doñi Encarnación Ortega Pardo. Por. AGP, RHF T-05074.

15 Amadeo de Fuenmayor, Valentín Gómez-Iglesias i José Luis Illanes, *El itinerario jurídico del Opus Dei* [Droga prawna Opus Dei], EUNSA, Pampeluna 1989, str. 327. AGP. Posiedzenie prawne VI/15611.

16 Por. AGP, RHF 21171, str. 1295.

17 Spotkanie z księdzem Álvaro del Portillo, 28 listopada 1982 r. Por. AGP, RHF 21171, str. 1411.

18 List Mons. Loris Capovilli, arcybiskupa Mesembrii, prałata Loreto do Papieża Pawła VI, 24 maja 1978 r.

19 Por. AGP, RHF 21171, str. 1424.

20 AGP, RHF 20121, str. 16.

21 Por. AGP, RHF 20089, str. 37.

22 *El itinerario jurídico...*, str. 348, przypis 148.

23 Spotkanie z 24 października 1966 r.

24 Ustna relacja doñi Maríi Begoñi Urrutia Domingo dla autorki.

25 Świadectwo Fernando Valenciano Polacka (AGP, RHF T-05362).

26 Spotkanie z 24 października 1966 r.

27 Świadectwo Mons. Césara Ortiz-Echagüe (AGP, RHF T-04694).

28 Spotkanie z 29 czerwca 1969 r.

29 Spotkanie z 27 marca 1966 r.

30 *El itinerario jurídico...*, str. 335, przypis 106. RHF, EF 620308T-1.

31 Świadectiono Rafaela Caamaño
Fernández (AGP, RHF T-05837) i
Fernando Valenciano Polacka (AGP,
RHF T-05362).

32 Świadectiono Rafaela Caamaño
Fernández (AGP, RHF T-05837).

33 Ibidem. Por. *El itinerario
jurídico...*, str. 125-126, str. 126
przypis 33 i dodatek dokumentarny,
15 i 16.

34 Spotkanie z 9 lipca 1967 r.